Nr. 50. Lwów, Niedziela dnia 12. Grudnia 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

I.

O NAUCE JĘZYKA NIEMIECKIEGO W NASZYCH SZKOŁACH ŚREDNICH.

II. Nieprzyjaciele nasi krzyczą we Wiedniu, że nauka języka niemieckiego w szkołach naszych zupełnie podupadła, a my im w tem dopomagamy, bo skłonniśmy do przesady i lubujemy się w ustawicznej krytyce. Jesteśmy przekonani, że tak źle nie jest, ale musimy oraz przyznać, że mogłoby i powinno być o wiele lepiej. Zarazem oświadczamy po dokładnem zbadaniu sprawy i dojrzałej rozwadze, że wszelkie w tym względzie niedostatki nie pochodzą z planu lekcyjnego szkół naszych, ani wynikają ze stanowiska języka tego w planie lekcyjnym. Wszak każdego języka obcego, np. francuskiego lub angielskiego można nauczyć doskonale w krótszym o wiele czasie i mając mniejszą liczbę lekcyj tygodniowych do dyspozycji. Jeżeli cel powyższy nie został we wszystkich szkołach naszych osiągniętym, pochodzi to jedynie z niedostatecznego wykonania planu lekcyjnego. Myśl, aby jednego przedmiotu wykładowego uczono po niemiecku, uważamy za niepedagogiczną, a nawet ze stanowiska narodowego za niewłaściwą. Wszakże w takim razie ten jeden przedmiot sprawiałby młodzieży wielkie trudności i powstałaby ogromna dysharmonja w jej wykształceniu, powstałaby luka w wykształceniu i luka w literaturze szkolnej. Odwracając się od tej myśli, musimy wypowiedzieć, żeśmy dotąd nawet w ogóle nie zrobili próby w szkołach naszych, czy młodzież polska może nabyć dostatecznej biegłości w języku niemieckim, bośmy jej nawet nie dali odpowiednio wykształconych nauczycieli.

Zapytajmy, kto uczy u nas w szkołach języka niemieckiego? Czy są to nauczyciele, teoretycznie i praktycznie wykształceni w tym kierunku!

Nauczycieli takich jest bardzo mało. Zazwyczaj uczą języka niemieckiego nauczyciele, oddający się innym zupełnie naukom. Wszak w jednej z największych naszych szkół średnich uczył a może uczy jeszcze języka tego pewien zastępca nauczyciela, kwalifikujący się do historji naturalnej, a uczył on oprócz tego jeszcze historji powszechnej, geografji i rachunków. Wszak niektórzy dyrektorowie, odznaczający się ściśle wojskowem pojmowaniem swych obowiązków, z szczególnem upodobaniem oddają naukę języka niemieckiego historykom, naturalistom, kaligrafom. A przecież do nauczania każdego języka w ogóle, a żyjącego w szczególe, oprócz wiadomości teoretycznych wymaga się gruntownej praktyki.

Plan lekcyjny może być w zupełności zachowanym, nawet większa liczba godzin wykładowych dla języka niemieckiego nie jest potrzebną a cel naukowy będzie zdaniem naszem osiągnięty, jeżeli zostaną uwzględnione następujące uwagi:

1. Należy oddawać naukę języka niemieckiego tylko nauczycielom, teoretycznie i praktycznie do tej nauki ukwalifikowanym. Ponieważ liczba takich nauczycieli obecnie jeszcze nie jest wystarczającą, należy zachęcać wszelkiemi środkami kandydatów zawodu nauczycielskiego do poświęcenia się temu przedmiotowi. Egzamin z języka niemieckiego na całe gimnazjum wraz z egzaminem z któregokolwiek języka żyjącego, wykładanego w gimnazjach lub języka klasycznego powinien kwalifikować do osiągnięcia posady nauczycielskiej, czyli mówiąc językiem technicznym, powinien stanowić zupełną grupę. Należy kandydatom tego zawodu dawać znaczne stypendja, a mianowicie korzystać ze znacznych kwot, które ministerstwo oświecenia ma na ten cel do dyspozycji. Kandydatów tego zawodu należałoby wysyłać przynajmniej na rok lub jeden kurs uniwersytecki do Wiednia, lub innych miast uniwersyteckich niemieckich, dla nabycia większej rutyny i właściwego wygłaszania.

2. Musimy przyznać, że kr. Rada szkolna na naukę języka niemieckiego szczególną zwracała uwagę. Dalsza równie staranna opieka będzie tem skuteczniejszą, jeżeli wszyscy dyrektorowie potrafią czuwać nad nauką tego przedmiotu, jeżeli posiadać będą tyle inteligencji, aby oprócz przedmiotu, do którego są ukwalifikowani, potrafili ogarnąć także inne przedmioty wykładowe i dawać nauczycielom wskazówki praktyczne starając się o jednolitość nauki w klasach równorzędnych, a o należyte stopniowanie treści naukowej w klasach wyższych.

3. Częsta zmiana nauczycieli tak w tym, jak i w innych przedmiotach powinna być stanowczo uchyloną.

4. Liczba wypracowań piśmiennych powinna być bardzo znaczną a poprawianie błędów nadzwyczaj starannem.

5. Tryb nauki powinien być taki, jakiego zazwyczaj używają w nauce obcych języków. Gdzie chodzi o wyćwiczenie w poprawnem pisaniu i mówieniu, tam należy rozlicznych używać ćwiczeń językowych, wersyj i retrowersyj, rozmówek, opowiadania, a należy wystrzegać się wywodów głęboko uczonych, w jakich nauczyciele zazwyczaj się lubują, jakoto wywodów z zakresu historycznej gramatyki, żmudnej a jałowej systematyki, głębokich wywodów literackich itp.

Nie wątpimy, że idąc tą drogą, dojdziemy do celu.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ DRUGA.

Partyzanci.

I.

„Jutro syn chłopa i dziecię senatorskie stanąć mają zarówno w usiłowaniach jednych," — powiedziała Konstancja do Stanisława.

To „jutro" miało nadejść niebawem...

Nie upłynęło półrocze od opisanych

w pierwszej części tej powieści wypadków, a już w znacznej części Polski zabrzmiały hasła wojenne. Młodzież uzbrojona w kosy i dubeltówki myśliwskie, częstokroć nieuzbrojona wcale, stanęła do walki z armją zbrojną w karabiny dalekonośne i armaty. Zapał i wiara w siebie miały się zetrzeć z przemocą materjalnej siły.

A ci którzy pamiętali przeszłość, mówili:

— Oto już kilkanaście lat ubiegło od ostatniej ruchawki, nowe pokolenie dorosło i przyszedł na nie czas tego obrządku, który od ojców i od dziadów wypełniany tak święcie, a tak nieszczęśliwie!

I nazywali ten obowiązek „chrztem polskim,“ chrztem krwawym, sakramentem poświęcenia, przez który każda nowa generacja polaków wchodzi do kościoła Ojczyzny.

Dzisiaj zmieniły się pojęcia i mamy wielu, którzy w obec niedorosłego jeszcze pokolenia, co chrztu takiego nie odbyło dotychczas, nie wahają się temu wybuchowi dawać innego nazwiska.

Nazywają ten ostatni z dopełnionych dotąd chrztów pokoleniowych — wojną uciekinierów.

„Uciekinier“—wyraz potwornie, wbrew duchowi języka ukuty, ma być charakterystyką epoki, której kilka zarysów dać czytelnikowi zamierzyliśmy. I nie dziwi się nikt cudzoziemskiej formie tego wyrazu, bo i rzecz nie jest polską, którą ma oznaczać — polacy nigdy nie uciekali przed wrogami. I nie protestuje nikt przeciwko używaniu tej nazwy i wyciskaniu jej jako piętno na ostatnim ruchu narodowym, bo faktem jest niezaprzeczonym i nieodpartym, że nietylko uciekaliśmy przed wrogami, ale że zasadą naszą, jedynym warunkiem powodzenia, jedyną możebną taktyką było — uciekać.

Przypomnijmy sobie jednakże jak i kiedy powstał ten wyraz, który ma taką plamą haniebną okrywać rok 1863, a przekonamy się zaraz jak go nadużyto cynicznie.

Demoralizowana przez rząd zaborczy młodzież polska nie wszystka dorosła i dojrzała tak jak młodzi Polacy dorastać i dojrzewać powinni. Kąkol zasiewany obficie musiał wzróść tu i owdzie i zdrowe ziarno zygłuszyć. Ztąd poszło, że między młodzieżą naszą mieliśmy część pewną rozpieczoną, rozpaniczowaną, skosmopolityzowaną, wychowaną w niepolskiej idei bezwzględnego hołdownictwa dobrobytowi, w miękim komforcie, w zniewieściałej dbałości o wygodę swojego ciała, w zapomnieniu lub niedokładnem zrozumieniu obywatelskiego i patrjotycznego obowiązku.

Że tak było, dziwić się niepodobna. Wróg zbyt usilnie pracował nad tem aby tak było, żeby mu się jego praca udać nie miała w nadpsutych warstwach społeczeństwa.

Gdy wybuch nastąpił, gdy niezgangrenowana opacznem wychowaniem część młodzieży polskiej pospieszyła „do lasu,“ musiała z nią wyruszyć i ta reszta nadpsuta lub zepsuta zupełnie. Musiała wyruszyć, bo zbyt potężnem było parcie opinji publicznej, a ci pożałowania godni młodzieńcy, zbyt słabi aby pójść z własnej woli, zbyt słabymi byli także, aby się oprzeć temu parciu, i z kobietami pozostać za piecem.

Takim sposobem w każdym partyzanckim obozie byli panicze, którzy tam poszli nie z ochoty, lecz po to tylko ażeby spłacić dług, o którego spłatę cały ogół dopominał się jednogłośnie. Poszli po to, aby jak najprędzej, pod jakimkolwiek pozorem, otrzymać urlop i powrócić za piec do kobiet. Niektórzy z nich nie czekali nawet urlopu, lecz korzystali z pierwszej zdarzonej sposobności, ażeby się usunąć z widowni, na której jaka błędna kula moskiewska mogłaby niedelikatnie zadrasnąć ich ciałko wypieszczone przez mamy i wypielęgnowane przez ciocie, które o ich powrót najprędszy modliły się z książki francuskiej.

Marzeniem takich paniczów było dostać się do Galicji, bo pod rządem moskiewskim, nawet siedząc najwięcej w domu, nie byłby jedynaczek dostatecznie zabezpieczonym od guza, a z Galicji bądź co bądź żadna droga nie prowadziła na Sybir. W Galicji przytem można było najłatwiej czynić zadość natarczywym wymaganiom opinji: wybierać się ciągle do powstania, wychodzić nawet, dawać się rozpędzać zaraz na granicy i wracać, aby z nowym zapałem zbroić zię znowu, mundurować i przygotowywać do wymarszu w taki sam sposób.

Dla takich paniczyków ta sama opinja powszechna, to samo sumienie kraju, które od nich żądało aby szli w ogień, ten *vox populi*, który nazywają głosem Boga, utworzył nazwę uciekinierów.

Gdyby kto inną jej genealogję wywodził, ten niech do siebie weźmie słowa, jakich pewien potomek hetmanów, wykładający historję literatury na uniwersytecie krakowskim, użył raz w apostrofie do genialnego francuskiego poety.

Ci uciekinierowie uciekali, i celem ich nie było nic więcej, tylko uciekać. Nazwisko które im nadano, było hańbą dla nich i dla powstania, ale było zarazem dowodem, że ogół czuje wstyd, jaki mu wyrządzają wyrodzeni....

Tych jednak była cząstka tylko, cząstka, niestety dość liczna, aby sobą zapowietrzyć całą Galicję.

Ale byli inni i tych było bez porównania więcej. Ci uciekali także. Ale uciekali dlatego, ze ruch 1863 roku nie był ruchem wyćwiczonej, regularnej armji, lecz ruchem partyzantów, źle uzbrojonych, rozbitych na mikroskopijne oddziałki. A w wojnie partyzanckiej zasadą jest nie stać i ginąć, ale niepokoić i nużyć bez ustanku nieprzyjaciela, uciekać, aby go zajść ze strony przeciwnej i uciec znowu, aby się pojawić gdzieindziej.

Dziewięć dziesiątych z tych co tak uciekali, uciekało dopóty, aż ich kula dosięgła.

Mieli oni dosyć odwagi, żeby stać i dosyć rozumu aby pojąć, że staniem w miejscu i oczekiwaniem na śmierć pewną, tryumfu tylko wrogowi przysporzą, że tylko ciągłem pojawianiem się i znikaniem mogą się w dziesięćkroć pomnożyć.

Tak uciekali gerylasy w Hiszpanji, gerylasy, których wspomnienie tak chlubną kartę stanowi w dziejach iberyjskiego półwyspu. Walczyli ci uciekinierowie jak gerylasy, ale się nie splamili tem czem się tamci splamili. Mimo zaciekłości wojny, nie ma w niej prawie przykładów owego zgrozą przejmującego barbarzyństwa z tej strony która tylko po partyzancku walczyć mogła, barbarzyństwa, jakiego są pełne dzieje obrony narodowej Hiszpanów przeciw najezdniczym kohortom Bonapartego.

I tych rycerzy, którzy w znacznej, w daleko większej części polegli, których kości bielały się po polach, lub których trupy na szubienicach zawisły, owi pierwsi, którzy z pola bitwy nie poto uciekali aby z innej strony powrócić, ale którzy zabezpieczyli swe osoby, którzy grali patrjotyzm jako komedję wtenczas kiedy był modnym i koniecznym, ci chcą ich teraz napiętnować nazwą uciekinierów, dając jej to znaczenie, jakie dla nich tylko wyłącznie temu wyrazowi było nadane!

Daremne usiłowanie! Historja odróżni uciekinierów „z obowiązku“ od uciekinierów „od obowiązku,“ i jeśli dziś w tej powieści przyjmujemy tę nazwę jaką ostatniemu naszemu ruchowi nadał szyderczy cynizm, jesteśmy pewni, że tym sposobem nie czynimy mu ujmy, odsłaniamy tylko jedną część prawdy, którą zatrzeć albo wykrzywić usiłują tacy, co z samych siebie potrzebują zmyć potępienie.

Zresztą w powieści naszej znajdą się uciekiniery i uciekiniery, będziemy więc mieli sposobność się przekonać, jaka między jednymi i drugimi w tej wojnie uciekinierów była różnica.

„Syn chłopa“ i „dziecię senatorskie“ stanąć byli do niej powinni, jak powiedziała Konstancja. Niestety! nie sprawdziło się jej proroctwo. Synowie chłopów i dzieci senatorskie byli wyjątkami w tem wysilonem starciu się potęgi moralnej, nie mającej materjalnej podstawy z potęgą materjalną a niemoralną. I gdyby „dzieci senatorskie“ były wyjątkami, jak ów spokrewniony z carską rodziną, a wychowany w szkole paziów i na dworze carskim bohater, dziedzic nazwiska, które „wdzięczny monarcha“ wyryć rozkazał na pomniku na placu Saskim w Warszawie wzniesionym, jeszcze by się bez nich wojna obeszła, gdyby jednocześnie nie byli także wyjątkami „synowie chłopów,“ tacy jak ów Stanisław Wydra, bohater naszej powieści...

Że nie wszyscy „synowie senatorscy“ wyruszyli na plac boju w początkach 1863 roku, żywym tego dowodem był pan Artur Szóstacki, były kamerjunkier petersburgski, a następnie kontuszowiec, i w epoce demonstracji najczerwieńszy między czerwonymi syn najbielszego pomiędzy białymi rodzica.

Zastajemy go w Łaszczyńcach, gdzieśmy go pozostawili.

Nie zmienił się on wcale od czasu łaszczynieckiego zjazdu, pobladł tylko trochę w swoich opinjach.

Wypadki w swoim szybkim przebiegu nie pozwoliły wiernie dotrzymać aż do końca politycznego programu, jaki sobie wówczas nakreślili ojciec i syn. Gdyby były kamerjunkier chciał się ciągle utrzymać w opinji najzapaleńszego między zapalonymi, mogłoby go to zaprowadzić dalej niż chciał,

więc musiał bledną dyplomatycznie. Podobnież ojciec nie mógł pozostać bezwzględnym zwolennikiem teorji wyczekiwania, bo kraj już czekać przestał i za broń chwycił. Musiał więc pan marszałek poczerwienieć trochę, tak że się co do zewnętrznej swojej barwy musieli zrównać z sobą obydwaj, na wewnątrz tylko nic się nie zmieniło, byli jak dawniej jednakowi.

Obydwaj w duchu przeklinali wybuch, głośno starając się tak postępować, aby ich nie pomówiono, że się od solidarności z nim wyłamują, obu głównem usiłowaniem było pozostać w zgodzie z rządem widomym i tajemnym, bo się jednego i drugiego obawiali zarówno.

— Cały nasz rozum stanu, — mówił nieraz pan marszałek do syna, kiedy ich nikt nie mógł słyszeć — cała nasza dyplomacja nie zagalopować się zadaleko i być w zgodzie z tymi i z tymi. Nie wierzę ja aby oni z kijami w ręku mogli pokonać armaty, ale ta awantura może potrwać za długo, i gdybyśmy się im narazili, mogliby mieć czas jeszcze sadła nam gorącego zalać za skórę.

— Mądra to polityka, — odpowiadał kamerjunkier, — ale trudna djabelnie.

Rzeczywiście polityka była niełatwa. Za czasów kiedy w Polsce jedni byli za „Sasem" a drudzy za „Lasem" jechał drogą żydek, któremu jako praktycznemu człowiekowi polityka wcale nie była w głowie i dla którego dobrym był nie „Sas" ani „Las" lecz każdy, na kim można było zyskać. Jechał i napotkał gromadę szlachty, która go zapytała z kim trzyma.

— Z Sasem, — odpowiedział żydek na chybi-trafi.

Źle trafił, ściągnięto go z wozu, powalono i wsypano kilkadziesiąt batów jako admonicję, żeby z wrogiem kraju nie trzymał.

Nauczony doświadczeniem potomek Abrahama, gdy napotkał drugą gromadkę uzbrojonych, już im na pewne oświadczył że trzyma z Lasem.

Ale znowu trafił niedobrze, — nie miał widać szczęścia żadnego do szlachetnej gry w cet-czy-licho. Spotkani byli stronnikami Sasa i taką samą admonicję wsypali biednemu żydkowi na plecy.

Od tej chwili żydek już nie był głupi manifestować swoje sympatje polityczne takie lub owe. Gdy spotkał gromadę szlachty i gdy go zagadnięto odpowiadał:

— Nu, co to pytać?... Czy ja powiem Sasa czy Lasa, to ja muszę dostać baty... Na co mnie brać w skórę za jednego albo drugiego? Chcecie panowie bić, to i bez pytania nabijcie!

Marszałek i kamerjunkier znajdowali się mniej więcej w położeniu takiego żydka. Szło im na razie tylko o to, ażeby wynaleźć jakiś sposób wyjścia bez wzięcia w skórę.

Najprostszym napozór sposobem było wyjechać zagranicę i tam przeczekiwać, aż się skończy ta zawierucha, aż się ostatecznie rozstrzygnie: kto będzie górą. Oba jednakże rządy i jawny i tajemny wyjątkowo tylko, bardzo niechętnie i z wielkiemi trudnościami udzielały paszportów, a wyjechać za paszportem od jednego tylko znaczyłoby to zerwać z drugim wyraźnie. Przytem kto wyjeżdżał ten swój majątek narażał bardziej na zmienne losów wojny koleje, a pan marszałek nie miał wcale ochoty ryzykować swojej fortuny. Jemu owszem uśmiechała się nadzieja, że w tej zawierusze będzie mógł uzupełnić swe posiadłości i złączyć w jedną nieprzerwaną całość, ciągnącą się od Łaszczyniec aż po Gradowce, że będzie mógł przy tej sposobności stać się faktycznie tem czem już był tytularnie, dzięki aktowi sprzedaży wystawionemu przez rotmistrza,— dziedzicem Zaskala. które mu tak jak Prusom Hanower, do całości państwa jego było potrzebne.

Ażeby pilnować całości majątku, ażeby go w najgorętszym wypadku najmniej uszczuplić, a w najlepszym jeszcze przysporzyć, należało koniecznie pozostać w kraju, na to więc zdecydował się pan Szóstacki. Mało jest spraw dla którychby ludzie tego gatunku tak do heroizmu byli zdolni, jak dla sprawy własnej kieszeni.

Pozostał w kraju i pan Artur, chociaż ten właściwie mniej był do czuwania nad całością fortuny rodowej potrzebny, a osobiście na większe narażany niebezpieczeństwa.

Kobiety, te nieznośne kobiety, jakby zmówiły się przeciw niemu. Gdzie się pokazał wszędzie go zapytywały:

— Kiedyż pan pójdzie do powstania?

Zapytania te były wypowiadane tonem, który nie pozwalał wątpić, że były brane na serjo.

— Natychmiast, jak się tylko w naszej okolicy coś zacznie, — odpowiadał na to pan Artur.

A gdy pytające, a częstokroć niedowierzające spojrzenia zdawały się go badać, dlaczego się uważa przywiązanym do swej paralji i zaścianku, jakby jaki *glebae adscriptus*, dodawał z miną tajemniczą:

— Mam instrukcje, do których stosować się muszę... pracujemy nad tem, żeby i w tych stronach coś było.

Do czasu dzban wody nosi. Można było tak odpowiadać dopóki w okolicy powstania nie było rzeczywiście. Ale wybuchnąć mogło. Wrzała Zahajpolszyzna, organizowały się Gradowce. Wieści które aż do pana Artura dochodziły, twierdziły zgodnie, że oczekiwano tylko przybycia dowódcy przez Rząd narodowy mianowanego. Mogło to nastąpić lada dzień, a gdyby się nawet odwlekło, to mógł się ukazać oddział partyzancki utworzony gdzieindziej, mógł wkroczyć który z organizujących się w Galicji, a wtedy urwałoby się ucho. Oddziały takie miały zły zwyczaj: gdzie się pojawiły, zabierały konie najlepsze ze stajni i najukochańszych synów obywatelskich z pod pierzyn.

Łamał sobie głowę pan Artur, łamał i ojciec. jakby to niebezpieczeństwo zażegnać i wymyślili coś mistrzowskiego naprawdę.

Ułożyli pomiędzy sobą, że pan Artur starać się będzie, aby Rząd narodowy powierzył mu jaką misję tajemną za granicę, zaś ojciec postara się ze swej strony aby rząd jawny jak najsilniej obsadził wojskiem tę częśc Podola, w której leżały jego posiadłości, tak aby wszelką myśl organizowania tam oddziałów powstańczych, a nawet zamiary chwilowego zaglądania w te strony uniemożebnić. Którybądź z tych dwóch planów byłby się powiódł, zabezpieczoną byłaby osoba pana Artura od zbyt narażającego udziału w „awanturze patrjotycznej," a gdyby się powiódł drugi, byłyby zarazem najskuteczniej zabezpieczone mienia rodowe od zbytecznych ofiar wymaganych w imię patrjotyzmu.

— Naturalnie, — mówił ojciec do syne, — że starając się o tę tam misję... do której, mówiąc nawiasem, któż może być najodpowiedniejszym, jeżeli nie my arystokracja... dasz dowód, żeś do niej zdolny.

— Jaki dowód?

— Starać się będziesz tak dyplomatycznie, żeby się nie narazić rządowi jawnemu, a otrzymawszy misję tajemną, będziesz ją pełnił tak tajemnie, żeby się nie skompromitować przypadkiem...

— To się rozumie, — odpowiedział syn ojcu, — ale naturalnie, że i ty ojcze będziesz dyplomatą.

— W czem?

— Starając się, aby naszą okolicę dobrze wojskiem obsadzono, będziesz pamiętał aby przy tem obeszło się bez wszelkich kartek, listów, piśmiennych zawiadomień, które mogłyby wpaść w ręce naszych władców podziemnych... i bez pośredników, którzy mogliby zdradzić...

— Zbyteczne przypomnienia... od czegoż głowa? — odpowiedział pan marszałek, klepiąc się po swoim wystającym brzuszku, jak zwykł był czynić ilekroć w jego łysawej przypruszonej siwizną głowie, zaświtała jakaś myśl wyższa, jakaś genialniejsza idea.

(C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

Józef Rogosz.

(Ciąg dalszy).

X.

Odwaga.

Karol, o którym kilkakrotnie wspominałem w pierwszych rozdziałach, był chłopcem młodym, bo dwudziestodwuletnim, i jako taki niesłychanie gorącym. Przedewszystkiem nie lubił ukrywać prawdy, którą ciął każdemu w oczy, nie myśląc o następstwach.

Taka prawdomowność jest w stosunkach towarzyskich wadą — ale jako objaw charakteru będzie zawsze cnotą.

W zimie, 1864 roku, stronnictwo ruchu wywołało powstanie *en miniature* na terytorjum weneckiem, które podówczas należało jeszcze do Austrji. Jak iskra elektryczna przebiegł jeden okrzyk od Turynu do Palerma: *Soccorso ai Veneti!* Pomagajmy Wenecjanom! We wszystkich miastach, na rogach każdej ulicy widziałeś sążniste plakaty z tym patrjotycznym napisem, a młodzież akademicka i rzemieślnicza, to wzywała rząd włoski, aby Austrji niezwłocznie wydał wojnę; to groziła, że jeśli Wiktor Emanuel nie wesprze powstańców weneckich, ona zrzuci go z tronu i ogłosi rzeczpospolitą; to nareszcie straszyła Austrję, że sama sformuje tyle ocho-

*

tników, ile będzie potrzeba, aby *maledetti Tedeschi* wypędzić po za Alpy!

Zwolennicy Józefa Mazziniego krzyczeli bez miary i końca, ale też i na tem się skończyło. Wiktor Emanuel nie wydał wojny, gdyż czuł, jaki byłby jej wynik; stronnictwo czerwonych nie zrzuciło go z tronu, a powstańcy weneccy napróżno oczekiwali legjonów, które ich zbawić miały.

Największa wrzawa panowała w Bolonji, gdzie kilkuset Wenecjanów uczęszczało na uniwersytet. W *Caffè degli Italiani* o godzinie szóstej wieczorem zbierały się zawsze tłumy młodzieży, aby przy filiżance kawy układać plany daleko sięgające. Ze wszystkich stron słychać było okrzyki, pogróżki, przysięgi — od każdego stolika podnosiły się głosy:

— *Morte ai Tedeschi!* *)

Sceny takie powtarzały się już od kilku tygodni—a sprawa o krok nie postąpiła. Wprawdzie wypijano codzień więcej kawy, i tak palono *kawury* że z dymu można się było udusić — ale za to ani jeden młody człowiek nie poszedł do powstania.

Karol, który na to z bliska patrzył, zniecierpliwił się nareszcie; pewnego wieczora, gdy w kawiarni mordowano Niemców bez miłosierdzia, skoczył na stołek i drżąc z gniewu, powiedział przytomnym, że są „tchórze"—ponieważ deklamują zamiast myśleć, a grożą zamiast bić!

Trzeba było widzieć i słyszeć, co się działo po tem przemówieniu. Gdyby nie obecność kilku przyjaciół Karola, którzy go przemocą wyprowadzili z kawiarni, zasłaniając w odwrocie swemi piersiami, waleczni Włosi byliby go pewnie zasztyletowali.

Nie zastanawiam się nad pytaniem, jak młodzież każdego innego narodu byłaby postąpiła z cudzoziemcem, któryby ją w ten sposób obraził; zaręczyć atoli mogę, że nigdzie nie byłoby się to stało, co we Włoszech. Zamiast od Karola żądać wyjaśnień lub zadośćuczynienia, szanowni jego koledzy uniwersyteccy uznali za rzecz stosowniejszą udać się nazajutrz rano do dziennika *Corrierre dell, Emilia*, i umieścili w nim artykuł tej treści:

„W naszem mieście znajduje się Polak, signor Carlo··· który wczoraj nazwał publicznie w s z y s t k i c h Włochów tchórzami. Oto jak się wywdzięcza cudzoziemiec, który znalazł schronienie na naszej ziemi. Jest to niewdzięczność, zasługująca na napiętnowanie!"

Pod artykułem podpisało się pięciu mazzinistów; między nimi znajdował się pewien inżynier, którego stronnictwo ruchu często używało za parawan.

Karol otrzymawszy dziennik w południe, zgrzytnął zębami, podumał chwilę, a potem udał się do dwóch przajaciół, prosząc, by mu chcieli służyć za świadków w sprawie honorowej. Po dłuższej naradzie stanęło na tem, że należało wyzwać inżyniera, ponieważ na artykule on pierwszy był podpisany.

O godzinie szóstej z południa świadkowie Karola zastali go w domu. Usłyszawszy po co przyszli, pobladł, ale nabierając powoli odwagi, odpowiedział im, że nazajutrz rano przyszle im swoich sekundantów, aby się porozumieli co do warunków.

Była już blisko północ, a Karol czytając książkę w łóżku, chciał właśnie lampę zgasić, gdy ktoś u drzwi gwałtownie zadzwonił. Służący który drzymał w przedpokoju, wyszedł do sieni, a potem wrócił oznajmiając swemu panu, że jakiś nieznajomy *signore* prosi o chwilę rozmowy.

— Otwórz! — odrzekł Karol, siadając na łóżku i twarzą ku drzwiom się obracając.

Niedługo trwało i do sypialni wpadł inżynier.

Karol osłupiał ze zdziwienia, i mimowoli podniósł rękę, jakby po rewolwer wiszący nad łóżkiem.

Tymczasem nowoprzybyły, nie powiedziawszy nawet gospodarzowi: dobry wieczór, i nie patrząc nań wcale, zaczął biegać dokoła pokoju krokiem przyspieszonym, mówiąc wciąż jakby do siebie:

— Pojedynek, aha... pojedynek! Pan myślisz, że my się damy maltretować lada młodzikowi, który Bóg wie z kąd przyjechał i nie ma nic do stracenia! O, tu nie Azja, nie!... My jesteśmy ludzie cywilizowani, i...

— *Molto delicati* — dodał Karol, bo go ta scena zaczęła niecierpliwić.

— A tak, *molto delicati* — potwierdził inżynier, zatrzymując się przed łóżkiem. — Ja mój panie nie jeżdżę do pańskiej ojczyzny, i nikogo tam nie napadam! Ja jestem obywatelem spokojnym i pracowitym!... Ale ja się nie boję, nie!... Ja na trzydzieści kroków wystrzelę każdego asa...

— Tem lepiej dla pana — łatwiej się mnie pozbędziesz.

— Pozbędziesz!... Piękne widoki!... A czy pan wiesz, że to nie wolno, że policja może nas uwięzić?

— Nie sądzę, byś ją pan uwiadomił przed pojedynkiem — odrzekł Karol złośliwie.

— Ja jestem człowiekiem honorowym, więc tego nie uczynię... lecz mogą się znaleźć inni... Całe miasto zna pana i mnie, jutro rano wszyscy będą wiedzieli, co między nami zaszło...

— Panie inżynierze — przerwał Karol poważnie — dajmy pokój gadaninie, która do niczego nie wiedzie... lepiej usiądź przy mnie i posłuchaj co powiem.

Inżynier przysunął sobie krzesło do łóżka.

— Najpierw muszę panu wyznać otwarcie, że ta wizyta niesłychanie mnie zadziwia, gdyż między ludźmi honorowymi istnieje zwyczaj, iż wyzwany przed ostatecznem załatwieniem sprawy ani odwidza swego przeciwnika, ani doń przemawia; ale to zboczenie chcę puścić w niepamięć, bo mogłeś pan nie znać tego zwyczaju. Teraz przystąpmy do rzeczy. Z całego pańskiego zachowania widzę, że nie chcesz bić się ze mną; otóż odpowiem na to, że chcąc czy nie chcąc musisz się bić! Ja nie ustąpię.

— Ale dla czego, *stimatissimo signor Carlo*, dla czego?

— Zaraz to wytłumaczę. Znając mnie oddawna wiesz pan aż nadto dobrze, że nigdy nie było moim zamiarem obrażać wszystkich Włochów. Jeżeli powiedziałem, że jesteście tchórzami, to powiedziałem tylko wam, mazzinistom, którzy krzyczycie, sami nic nie robiąc. Wasz rząd sam wam to powtarza. Zresztą nie wątpię, że w duszy i pan nie zaprzeczysz, iż mam rację... Nazwałem tylko was tchórzami, a wy ogłosiliście w dzienniku, żem to stosował d o w s z y s t k i c h W ł o c h ó w b e z w y j ą t k u, co jest nieprawdą. Ale ja przejrzałem wasze zamiary... Ponieważ wiecie, że bywam w najpierwszych domach, chcielibyście zatem, by się one przedemną zamknęły. Cóż mi teraz czynić wypada? Polemizować z wami w dziennikach? O mój panie! w dziennikach można polemizować tylko z ludźmi dobrej wiary! Tymczasem wy nie wiecie, co to dobra wiara... pierwszy wasz występ był kłamstwem... Nie mogąc zatem wejść na drogę polemiki muszę żądać zadośćuczynienia i dla tego wyzwałem dziś pana... Czy nie mam racji?

— *Avete ragione stimatissimo signor Carlo* — odpowiedział inżynier, który całego przemówienia z wielką słuchał uwagą; — pan masz rację najzupełniejszą, ale jeżeli już koniecznie zapragnąłeś krwi naszej, czemu z pięciu podpisanych na artykule nie wybrałeś innego, tylko właśnie mnie?

— Bo z nich wszystkich uważałem pana za najpoważniejszego i najporządniejszego... a i pan pierwszy byłeś podpisany.

— Dziękuję za komplement, chociaż mnie to wcale nie pociesza... Signor Carlo, ja mam żonę, dzieci, siostry, matkę... A gdybym broń Boże zabił pana, wierz mi, *caro signore* jabym tego nie przeżył!

Karol był oburzony; była chwila, że chciał skoczyć i za kołnierz inżyniera wyrzucić, ale przypomniawszy sobie, że jest gospodarzem, przygryzł tylko usta do krwi, a po dłuższym namyśle tak przemówił:

— Jeszcze raz powtarzam, że pan musisz się bić ze mną! Od tego nie odstąpię... żeby jednak rodzina pańska nic na tem nie ucierpiała, daję słowo, że pana nie zabiję!

Włoch skoczył z radości.

— Ja zawsze mówiłem, że pan jesteś *galantuomo!* Niech djabli porwą tych urwisów, którzy mnie do tego podpisu namówili. *Voi siete galantuomo*, i dla tego ja także daję słowo, że pana nie zabiję!

Karol uśmiechnął się pogardliwie.

— Ja takiej ofiary od pana nie żądam.... Jeżli będziesz mógł, zabij!

— Jutro przyszlę moich świadków, i dam im instrukcję, aby przyjęli pojedynek na pałasze, bo te pistolety...

— Dobrze, dobrze,-a teraz żegnam pana.

— Ale, signor Carlo, pan nikomu nie powiesz, że ja tu byłem?

— Bądź pan spokojny... jabym się wstydził o tem wspominać...

Włoch wyszedł, a Karol rzuciwszy za nim spojrzenie pełne wzgardy, zgasił lampę i usnął.

Nazajutrz o 5ej z południa odbył się pojedynek we willi margrabiego R. Walka trwała przeszło pół godziny. Mimo że Włoch bardzo dobrze władał pałaszem, mimo że przysiadał na ziemi i najrozmaitszych fint używał, Karol, który bił się swobodnie jakby tańcował, tak go płatnął w prawe ramię, że aż Włochowi pałasz wypadł z ręki. A trzeba jeszcze dodać, że podczas walki inżynier po dwakroć głowę odsłonił, z czego jednak Karol nie korzystał...

Bolonja, jak wszystkie stare miasta obwiedzione murami, mimo stutysięcy mieszkańców jest małem miasteczkiem. Wszyscy się znają, każdy wie co drugi robi. Gdy po pojedynku Karol wracał do domu ze swymi świadkami w powozie odkrytym, z dobrą miną i cygarem w ustach, znajomi zatrzymywali się na ulicy, a rzucając mu jadowite spojrzenia, szeptali półgłosem:

— *O! birbante Polacco!*

Innego atoli zdania były sfery, w których Karol bywał. Tam tego samego dnia wieczór

---

*) Śmierć Niemcom.

przyjęto go bardzo uprzejmie, a hrabina Alma, o której pomówimy obszerniej w następnym rozdziale, rzekła nawet z czułem spojrzeniem:

— Szkoda wielka żeś go pan... i zamiast dokończyć zrobiła wachlarzem ruch oznaczający pchnięcie.

— Więc toby cię hrabino nie zmartwiło, gdyby z ręki cudzoziemca zginął jeden z twoich rodaków?

— Bynajmniej! Nasza sfera jest kosmopolityczną, a prócz tego ja tych mazzinistów znieść nie mogę.

— Pani jesteś mściwa.

— Za to, że na pana godzono...

Rzekłszy to podała rękę swemu danserowi, rzucając jeszcze przez jego ramię spojrzenie głębokie — długie — melancholijne... na Karola.

* * *

Nie skończyło się na pojedynku z inżynierem. Trzeciego dnia Karol został wyzwany przez drugą z rzędu osobistość, która na artykule była podpisaną. Równocześnie rozchodziły się po mieście pogłoski, że zuchwały Polak będzie musiał bić się najpierw z wszystkimi pięcioma, a jeźliby go ci nie pokonali, z trzystoma innymi, którzy słyszeli obelżywe jego słowa w kawiarni.

Nowy ten pojedynek miał się odbyć w samo południe na kampanji, między dwoma płotami winogradu. Gdy zapaśnicy stanęli w miejscu umówionem, jeden ze świadków Karola udał się do sekundantów przeciwnika, i szepnął im na ucho, że ponieważ ich klient ma na sobie bardzo gęstą koszulę wełnianą, o czem on wie od osoby dobrze poinformowanej, przeto żąda by ją zrzucił. Włoch, który aż do tej chwili trzymał się dziarsko, usłyszawszy czego od niego żądają, zbladł jak chusta; wiedząc atoli że na kompromitację nie może się narażać, zrzucił najpierw zwykłą koszulę białą, a potem wełnianą, która w dodatku była na piersiach wywatowana. Karol patrzył zdaleka na tę scenę komiczną.

Gdy zapaśnicy stanęli naprzeciw siebie, Karol wypadł prawą nogą, robiąc minę, jakby chciał przebić przeciwnika. Włoch tak się przestraszył, że o pięć kroków w tył odskoczył, wołając:

— *Non così vicino!* *)

Karol parsknął śmiechem, a przekonawszy się z tych słów z kim ma do czynienia, zaczął ścigać swego przeciwnika. Ten cofał się kłusem, ciągle powtarzając: *non così vicino*, dopóki nie uczuł za sobą winogradu. Nie mogąc już teraz kroku w tył zrobić, stanął jak człowiek przez psy napadnięty, i jak kijem machał pałaszem. Karol mógł wygodnie zabić przeciwnika, ale tego nie uczynił. Taki bohater nie zasługiwał na śmierć. To też prowadząc pałasz od swego lewego boku pod górę, zadowolił się odcięciem Włochowi wielkiego palca, który mu od pałasza odstawał, i przedarciem skóry na jego żołądku. Włoch rzucił pałasz, prawą ręką zaczął trząść w powietrzu, a lewą za brzuch się uchwycił.

Jedyny to był widok w swoim rodzaju!

I znowu Karol wracał z sekundantami paląc wesoło cygaro, i znowu powtarzano na ulicy:

— *Birbante Polacco!*

---

*) Nie tak blisko.

Wieczorem zaś hrabina Alma jeszcze czulsze rzucała spojrzenia...

Czwartego dnia przyszła kolej na trzeci pojedynek. Tym razem Karol chcąc raz zakończyć awanturę, nie przystał na pałasze i musiano przyjąć pistolety. Przeciwnik był odważniejszym od obu poprzedników, bo wystrzeliwszy pospiesznie, nie cofnął się ale doszedł do barjery. Karol widząc go o pięć kroków od siebie, wypalił w powietrze:

— *Bravo! bravissimo! E un vero cavaliere!* — zawołali sekundanci, rzucając się kolejno na szyję Karolowi. Czyn ten tak wszystkich ujął, że żaden go już więcej nie wyzwał.

Wieczorem hrabina Alma była jeszcze czulsza, a gdy Karol odchodził, szepnęła mu przelotnie:

— Nie radzę panu pokazywać się wieczorem na ulicy bez rewolweru....

— Czemu?

— Nie mogli cię zgładzić w walce otwartej, więc mimo objawów sympatji, zechcą to może uczynić w inny sposób...

Karol usłuchał jej rady, bo przecież ona znała swoich ziomków, i przez cały czas pobytu w Bolonji chodził z rewolwerem.

XI.

KOBIETY.

Od kilku dni błądziłem wśród zwalisk Pompei, dumając nad przeszłością u stóp moich w gruzach leżącą, i od kilku dni jadałem bardzo drogie a bardzo niesmaczne objady w hotelu Diodema, gdy pewnego południa przyjechał z Neapolu jeden ze znajomych, aby mnie uwolnić od dumań i złych objadów i z sobą zabrać do miasta. Poczciwiec przywiózł wszystkie listy i dzienniki, które od tygodnia leżały dla mnie na poczcie w Neapolu. Między listami znalazłem jeden niezmiernie długi od Karola. Ucieszyłem się nim niewymownie, gdyż blisko od pół roku nie miałem od niego żadnej wiadomości. Zostawiwszy go w Bolonji, udałem się sam na Południe, i dopiero w Rzymie mieliśmy się zjechać, aby potem razem wrócić do Florencji i dłużej tam zabawić. Muszę tu wyznać, że od dwóch lat pierwszy dopiero raz się wydarzyło, żem się puszczał w świat bez mego towarzysza podróży. Ale cóż było robić! Karol wyglądał tak tajemniczo, i tak niechętnie mówił o wyjeździe z Bolonji, że ja domyślając się jakiejś intryżki miłosnej, uznałem za stosowne nie namawiać go dłużej i zostawić u boku tej, która w kilku tygodniach potrafiła zrobić wesołego chłopca zamyślonym, małomownym, a nawet wzdychającym.... Przypuszczenie moje nie było bezpodstawne; list, który właśnie otrzymałem, rozjaśnił mi całą tajemnicę.

„Ach! mój drogi — pisał Karol w drugiej połowie swego listu — niech te Włoszki wszyscy kaci porwą! Jeszcze dwa takie przejścia, jak te, które ci opowiem, a postarzeję się o lat pięćdziesiąt! W kilku tygodniach nauczyły mnie w nic nie wierzyć... Posłuchaj tylko.

Przypomnisz sobie zapewne, że pierwszy salon, w którym poznałem starą arystokrację włoską, i w którym kazano mi ciągle pić *aqua fresca*, był to salon margrabiny Sca***. Zapewne także nie zapomniałeś, że pierwszego zaraz wieczora poznałem tam stworzenie młode i piękne, słowem kobietę, która od pierwszego wejrzenia zaczęła mnie szczególnemi zaszczycać względami, a o której wtedy nie umiałem ci powiedzieć, czy była panną, mężatką, wdówką, czy seperatką. Przedstawiwszy się wszystkim damom kolejno, przetańczyłem kilka tańców z pannami domu i gospodynią samą, bo i ona lubi się zabawić, a potem stanąłem pod kolumną, aby dowiedzieć się od jednego ze znajomych, jak się niektóre panie nazywają. Właśnie miałem zapytać o jednę, która szczebiotem bawiła kilka matron poważniejszych, gdy w tem ona jakby moją myśl zgadując, szybko powstała, a zbliżywszy się do mnie zapytała jak dobrego znajomego:

— Pan tego walca nie tańcuje?

— Właśnie myślałem....

— A więc proszę.

Oryginalne to postępowanie niezmiernie mi się podobało. Podałem jej rękę, i z wesołym uśmiechem rzuciłem się w wir szalony.

— Głowa mi się kręci... siądźmy...

— Służę pani.

Podałem ramię mojej pięknej, a odprowadziwszy ją pod kolumnę, stanąłem obok.

— Proszę, usiądź pan przy mnie...

Usiadłem.

— Pan cudzoziemiec... jakie też wrażenie zrobiły na panu Włochy?—Łatwo zrozumiesz, że użyłem całego krasomostwa, aby opisać to wrażenie.

— A długo pan zabawisz?

— Nie wiem...

— W każdym jednak razie cały karnawał?

— Co najmniej...

— Bardzo pięknie! Zamawiam sobie pana do lanciera... Ale otóż i mój danser... do miłego widzenia...

Podała mi rączkę drobną, śliczną, a gdy ze swoim danserem zbliżyła się do miejsca, w którem jeszcze stałem, jej duże czarne oczy, długą rzęsą przysłonione, wpatrzyły się we mnie z wyrazem tak dziwnym, że mimowoli serce bić mi zaczęło... Gdyśmy się rozchodzili, spotkałem ją przypadkiem, i ona jak od niechcenia rzekła koło mnie przechodząc:

— Takeśmy się dobrze bawili u markizy, że odtąd żadnego czwartku nie opuszczę.

I znowu spoczęło na mnie to samo spojrzenie, i znowu serce moje zadrżało, jakby wszystka krew do niego spłynęła.

Czyż można się dziwić — wszak jesteśmy tak młodzi!

Następnego tygodnia nie poszedłem do margrabiny Sca***. Mając żywo w pamięci zasadę, że ci najchętniej nas widzą, którzy nas najrzadziej widują, przywykłem cenić moje wizyty, i wierz mi, zawsze na tem dobrze wychodzę. Zasada moja nie zawiodła mnie i w tym wypadku. Gdy trzeciego tygodnia wszedłem do salonu margrabiny, moja piękna, o której przez czternaście dni marzyłem, zbliżyła się pierwsza do mnie, i z minką niesłychanie kapryśną, wyszeptała przez perłowe ząbki:

— Zasłużyłeś pan na surową karę...

— Za co?

— Nie byłeś minionego czwartku.

— Pani raczyłaś zauważać?

— Nawet mnie to gniewało....

— Taki gniew może mi tylko przyjemność sprawić.

— Ale nie radzę nadużywać mojej cierpliwości.

— Dołożę starań, aby się poprawić... a teraz proszę o przebaczenie...

— Na przebaczenie trzeba sobie zasłużyć.

— Wszystko uczynię...

— Zobaczymy!...

Nadszedł danser, uniósł ją w wir, a ja stojąc opodal widziałem tylko duże, czarne oczy.... Ach, te oczy! (C. d. n.)

Magnetyzm zwierzęcy i Jasnowidzenie.

przez

DR. JANA STELLĘ SAWICKIEGO.

Od lat dziecięcych aż do późnego wieku człowiek nieustannie bada naturę, stara się objaśnić każdy niepojęty dla niego objaw i nieustannie zapytuje: „dla czego, i zkąd to pochodzi?“ I wszystko co umysł, przy pomocy nauk przyrodniczych umie sobie objaśnić, zrozumieć, staje się rzeczą zwykłą, podczas gdy objawy nieobjaśnione, niewyświecone pozostają w dziedzinie tak zwanego nadprzyrodzonego świata i cudowności.

Objawy elektryczności, światła, magnetyzmu i ciepła jeszcze niedawno były nadprzyrodzonemi objawami, dziś już w całości należą do fizyki. Lecz jest jeszcze wielkie pole bardzo mało lub zupełnie niezbadane, w którem nieustannie odkrywają nowe cuda, nowe niespodzianki, uderzające swoją nadzwyczajnością umysł ludzki, drażniące nieustannie wrodzoną ciekawość i drwiące z dotychczasowych wiadomości człowieka. To pole jest to stosunek duchowej natury człowieka i jego nerwowego systemu do sił fizycznych, do ich niejednakowego i zagadkowego działania, i do dziwnych objawów, które słaby umysł ludzki natychmiast stara się otoczyć nimbem cudowności i nazwać rzeczą nadprzyrodzoną.

Któż z nas nie widział objawów lunatyzmu, jasnowidzenia, nieczułości i nadczułości; przed kim nieopowiadano o dziwnych rzeczach, których dowiedziano się od kręcących stolikow, od pukających duchów, od jasnowidzących, mogących przeczytać list brzuchem, widzących dokładnie przeszłość i przyszłość, umiejących leczyć najcięższe choroby, rozumiejących wszystkie języki na świecie? Objawy te nieraz tak zajmują umysły, że otumaniony niezwykłością zjawiska spiryta cały wieczór będzie prawić o odpowiedziach, które otrzymał pisemnie z tamtego świata od Cycerona, Cerwantesa, Petrarki, ba, nawet od Chrystusa, Najświętszej Matki i od samego Boga Stworzyciela. Nie będziemy tu mówić o szarlatanach, wyzyskujących ludzi łatwowiernych, spekulujących na kieszeń przesądnych lub na wpływ moralny na słabe głowy i charakter, bo jest niezmiernie wiele ludzi najgodniejszych i najuczciwszych, którzy sami wierzą w jakieś siły nadprzyrodzone i drugich w błąd wprowadzają.

Pomówimy z początku o różnych objawach tych tak zwanych cudów, a następnie przejdziemy do ich objaśnienia na podstawie praw fizycznych i właściwości fizjologicznych naszego ciała.

Piszący był sam lunatykiem w dzieciństwie, i miał kilku kolegów dotkniętych tym dziwnym stanem. Zwykle w noc jasną, księżycową, jakaś nieznana siła podnosiła go z łoża snu i zmuszała do przechadzki, do łażenia po drzewach i dachach, po miejscach najniebezpieczniejszych z nadzwyczajną zręcznością, pewnością siebie i spokojem; nieraz brodził on przez ruczaje po pas w wodzie zimnej, chodził po kilka mil i wracał na swoje łoże, dziwiąc się na drugi dzień zmęczeniu swemu, zabłoconym nogom i zmoczonej bieliźnie. Spotkawszy lunatyka można zauważać, że oczy ma tylko przymknięte, że wzrok kieruje krokami jego; sen jest tak twardy, tak mocny, że lunatyka potrzeba silnie wstrząsnąć za rękę, głośno zawołać nad uchem, żeby go obudzić. O ile pamiętam, światło księżyca, szczególnie w pełni, robiło na mnie zawsze wielkie wrażenie, lecz po nocnej przechadzce nigdy nie pamiętałem co się ze mną działo i nigdy ani sam, ani inni nie odpowiadali przez sen na zadawane pytania; wyleczyłem się zaś z tego przykrego przyzwyczajenia w bardzo łatwy sposób, przywiązawszy nogę do łóżka na noc. Gdy chciałem wstać, rozwiązanie sznurka tyle potrzebowało czasu i pracy, że się budziłem i ochota do chodzenia znikała.

Jak objaśnić lunatyzm?

Jest to według zdania mego, wyższy stan snu zwykłego. Widzimy przecież nieraz nielunatyków, których obudzić ze snu niezmiernie trudno; półgodziny będzie wstawać, ruszać się, a zmysły jego będą w uspieniu i długo nie jest w stanie zdać sprawy sobie z tego co robi. Lunatyka budzi światło księżyca, drażniące jego nerw wzrokowy, on wstaje i idzie powodowany marzeniami, a że jego umysł nie pracuje normalnie, nie pojmuje więc żadnego niebezpieczeństwa, łażąc po takich miejscach, po których człowiek czuwający nie przejdzie bez strachu, bez zawrotu głowy. Obłąkany, nie pojmujący, że mu grozi śmierć lub kalectwo, tak samo jest odważny we wspinaniu się i łażeniu jak lunatyk, który jednak zwykle robi to tylko, do czego przywykł. Czy światło księżyca ma tu wpływ tak ważny, czy w ogóle tylko światło, trudno odpowiedzieć; lecz zdaje się, że to ostatnie przypuszczenie jest prawdopodobniejsze, bo w świetle księżycowem nic niema specyficznego i szczególnego, a jeżeli ludzie nie są lunatykami w dzień jasny, to tylko dla tego, że zwykle w tym czasie nie śpią, a jeżeli śpią, to sen dzienny jest inny jak nocny, bo daleko słabszy.

Kilkanaście lat temu p. Reichenbach wydawszy swe „Odomagnetyczne listy“ zmistyfikował pół Europy. Dowodził on w nich istnienia nowego pierwiastku — „Odu,“ znajdującego się wszędzie, czuć go mogły jednak tylko pewne osoby, posiadające szczególną czułość nerwów i nazwane przez niego „sensytywami.“ Te to osoby, w zupełnie ciemnym pokoju mogły widzieć światło wydzielające się ze wszystkich żyjących organizmów, a nawet z minerałów, czuć na wielką głębokość pod ziemią cieknącą wodę, odkrywać źródła i t. d. Piszący te słowa nie jeden dzień i nie jedną noc przesiedział nad kryształem górnym i nad silnym bardzo magnesem, żeby sprawdzić choć jedno z opowiadań Reichenbacha i okazało się, że wszystko było wymysłem rozbujałej fantazji, a może też nawet niegodziwej spekulacji, obrachowanej na właściwości natury ludzkiej, szukającej ciągle fantastycznych tworów, aby nasycić nieugaszony pociąg do nadzmysłowości i cudów. Pociąg ten jest tak silny, iż nieraz był źródłem największych szaleństw ludzkiego ducha.

Postęp wiedzy i oświaty kilku ostatnich dziesiątków lat, był tak znaczny we wszystkich kierunkach, że zdawało się, iż położy kres takim spekulacyjnym mrzonkom. Lecz właśnie wtedy, gdy najmniej można było spodziewać się, zjawił się w najzabawniejszej formie. Gdy wiara w czarnoksiężnice i czarnoksiężników, w djabły i opętane, w wampiryzm i t. p. ustąpiła przed światłem nauki, ukazuje się naraz to wszystko tylko w innej i nieco przyzwoitszej formie! w stolikach wirujących, w pukaniach duchów w prychografji i t. d., które miały połączyć za pomocą nadprzyrodzonych sił świat ludzi ze światem duchów.

Najrozsądniejsi ludzie siadali do stolików poważnie kładli na nich ręce i po kilka godzin czekali dopóki stolik nie zacznie się kręcić. W krótce zauważano, że stoliki kręcąc się pukają nóżką w ziemię, a ilość uderzeń odpowiada miejscu litery alfabetu. Stoliki więc zaczęły mówić. Długie godziny siedzieli ludzie słuchając co stolik prawi i okazało się, że drewniana nóżka wystukuje bardzo poważne rzeczy, wygłasza wysokie moralne maksymy. Stukanie to nóżki zbyt jednak wiele zajmowało czasu, a ludzie byli chciwi wiadomości, rzucono się więc do wynalazków, urządzono małe drewniane stoliczki w których zamiast jednej nóżki był wstawiony ołówek. Pod ręką wierzącego ołówek zaczął pisać już nie oderwane zdania lub krótkie odpowiedzi, lecz całe powieści moralne i traktaty naukowe. Następnie okazało się, że niepotrzeba nawet stolika z ołówkiem i że osoba przyzwyczajona do pisania za pomocą stolika, mogła wziąć ołówek w rękę i ołówek sam zaczynał pisać, a pisał takie mądre rzeczy, że niepodobna było w cud nie uwierzyć...

W 1865 roku byłem wprowadzony w Genewie do domu jednego bogatego mieszczanina, który dostał prawdziwego pomięszania na punkcie kręcących się i piszących stolików. Medium czyli osoba, która kierowała stolikiem, był protestancki pastor co wieczór przychodzący do niego z całą kompanją znajomych i ciekawych najprzód żeby pomówić z duchami, a potem zasiąść do dobrej kolacji. Powiemy nawiasem, że te codzienne zebrania i kolacje w końcu zniszczyły fortunę gospodarza, a medium zaczął wywoływać duchy w innym domu.

Gdyśmy już wszyscy byli zebrani, pastor położył rękę na stoliku i natychmiast nóżka zaczęła pisać. Jeden z przytomnych zapytał, jaki duch jest pośród nas? Stolik odpowiedział: „Chrystus“. Pastor ukląkł i nie zdejmując ręki ze stolika coś pisał jeszcze, potem z papieru przeczytał bardzo piękną modlitwę do Zbawiciela świata podpisaną przez archanioła Gabryela. Zapytania, które zadawano Chrystusowi odnosiły się do polityki i do przyszłości pojedyńczych osób. Odpowiedzie wszystkie były bardzo dwuznaczne. Po półgodzinnych zapytaniach i odpowiedziach Chrystus oddalił się, ale na jego miejsce przyszedł duch Newtona.

— Czemu pan nie zapyta o cokolwiek? odezwał się Pastor do mnie.

Zbliżyłem się więc i zapytałem ducha Newtona: jaka jest formuła wzajemnego przyciągania się trzech ciał niebieskich znajdujących się w ruchu, a mianowicie słońca, ziemi i księżyca, gdyż formuła ta dotychczas nie została wynaleziona przez matymatyków. Duch Newtona po pewnym namyśle odpowiedział: „tego ci nie powiem, bo to dałoby ci niezasłużoną sławę — módl się, pracuj i myśl“. Zapytaj pan jeszcze cokolwiek rzekł pastor. Napisałem czterowiersz z Mickiewicza i prosiłem ducha Newtona, żeby mi go przetłumaczył na angielski język. Zakłopotany duch wielkiego matematyka odpowiedział, żebym jutro przyszedł na zebranie po odpowiedź. Lecz tego mi było już za nadto, bo widziałem i profanację i oszustwo. (C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

przez

Dr. Z. Rościszewskiego.

VI.

Z życia ryb.

„Alle Gestalten sind ähnlich und keine gleichet der andern:
Und so deutet der Chor auf ein geheimes Gesetz.
Auf ein heiliges Räthsel!“

Goethe

Jakkolwiek szybkim jest lot ptaków, pływanie wielu ryb nie ustępuje im w prędkości, a zwinność ryby jest tak wielką, że nawet w przysłowie poszła. Ten niezgrabny na pozór *rekin*, którego oprócz starego wieloryba wszystkie wodne zwierzęta się lękają, zwinny jest w istocie do podziwu. Często widziano go jak razem z okrętem, który pomyślnym wiatrem gnany, wypływał z portów Europy, on igrając i skacząc krążąc w setnych kierunkach naokół niego, to za zdobyczą parę mil w bok się oddalając, to wesoło przodując statkowi, niezmęczony, zdrów i pełen zawsze krwiożerczej energji, z tym samym okrętem do Ameryki przypłynął. A *tuńczyk* (Thynnus vulgaris), którego żwawy ruch z lotem chyba orła szybującego powietrze porównać trzeba, chcąc mieć wyobrażenie o szybkości posuwania się jego po morskich przestworzach. A *łosoś* (Salmo salar) co na jedną sekundę 24 stóp przepłynie, czyli na godzinę przeszło ośmdziesiąt sześć tysięcy stóp zrobi! Słowem, gdy weźmiemy w uwagę, z jaką łatwością niektóre z tych morza mieszkańców, umieją zniżać się i podnosić, cofać się i zginać, wyskakiwać i posuwać się naprzód, to pewno ryb w zręczności, niżej od ptaków nie postawimy.

A zkąd ta zręczność, zkąd szybkość taka w ich zwrotach, nie jeden spyta? Czy dla tego że woda przedstawia ciało, którego opór jest słaby, a z tego powodu ryba mniej siły zużywa, chcąc się w tej jednakowo gęstej materji posunąć? Czy też szczególny jaki przyrząd zwierzęcia tej nadzwyczajnej jego zręczności jest przyczyną? Otóż zgadłeś czytelniku — jak jedno tak drugie jest prawdą oczywistą, jak jedno tak drugie niezbędnym szybkości tych zwierząt jest warunkiem.

Woda, na której wielkie statki mogą być ręką człowieka bez wielkiego natężenia z miejsca poruszone, przedstawia dla ryb tę łatwość w poruszaniu się ich, jaką ma powietrze dla ptaków. Z fizyki wiadomo, iż każdy w wodzie zanurzony przedmiot, o tyle w niej lżejszym jest niż w powietrzu, o ile waży przestrzeń wody, którą on wypycha objętością swojego ciała.

I tak *Narwal*, nazwany też *zęborożcem* (Monoceros), od długiego na 7—10 stóp kła, sam choć do ryb nie należy, lecz do *wielorybów* (Cetacea), czyli do *ssących* (mammalia), żyje jednak tylko w wód morskich przestrzeniach, a ciało jego nieraz niekiedy do 20 i więcej stóp dochodzące, wydaje się lekkie i zwinne w tym żywiole. Zresztą król wszystkich zwierząt tego rzędu (wielorybów), kolosalny *wieloryb północny* także grenlandzkim zwany (Balaena mysticetus), którego długość nieraz 70 stóp przechodzi a obwód ciała 40, sama paszcza 20 długa a 14 szeroka — ów wieloryb, który łatwo może pomieścić w sobie całe czółno z osadą, a na grubej swej skórze cały świat pasożytów żywi, płynie zwykle 9 mil angielskich na godzinę a raniony nawet 16. Płynie tak szybko, bo w wodzie lżejszy jest o cały słup wody potwornem swem ciałem wypchnięty.

Budową zaś *ryby* (pisces) tylko do przerzynania wód przestworzy, do życia w tym wspaniałym są żywiole przeznaczone. Członki ich ukształtowane do pływania. Z tych przednie skrzydłom ptaka, lub przednim kończynom czworonoga odpowiadając, tworzą *płetwy piersiowe*, tylne formują *płetwy brzuchowe*. A jak u innych zwierząt kręgowych, (vertebrata) kończyny te są parzyste, tak też i u ryb stanowią one dwie pary. — Nadto posiadają one oprócz tych i nieparzyste płetwy, a temi są: *grzbietowa*, *ogonowa* i *podogonowa*. Gdy tamte utrzymują równowagę ciała, wpływają na szybkość ruchu i posuwanie się w pewnym kierunku, te służą rybom do szybowania, do wiosłowania w wodzie.

A jak ptaki, aby być lżejszemi, kości mają wydrążone i napełnione są same powietrzem, tak ryby po większej części mają oddzielny przyrząd, szczególny pęcherz wewnątrz ciała umieszczony, *pławnym* albo *powietrznym pęcherzem* nazwany. Pęcherz ten wypełniony jest zawsze powietrzem. W skutek ruchu osobnych mięśni, może go ryba dowolnie zwężać i rozszerzać a tem samem ciężar swojego ciała zmniejszać lub powiększać. Za jego też pomocą może wznieść się ku powierzchni wody, to znów nagle w niezmierzone głębie się spuścić, lub pozostać w równowadze. Tych ryb, które pławnego pęcherza nie posiadają, lub mają go mały, zwinność jest mniejsza a przeznaczeniem ich zamieszkiwać głębie, lub ukrywać się w mule.

Płetwy ryby poruszać się i zginać, rozciągać i ścieśniać mogą, podobnie jak skrzydła u ptaka. Te jak tamte są narzędziami ruchu zupełnie do siebie podobnego. To też ryba podobnie płynie w wodzie jak ptak lata w powietrzu. A jeżeli są ptaki, które wśród wody żyją— *ptaki wodne*, to są też i ryby, które w powietrzu choć przez krótki czas żyć mogą — *ryby latające* i *łażące*.

Przepiórka morska, *wachlotką* albo *strwolotką* zwana (Dactylopterus volitans) do *kostolicych* ryb należąca (Cataphracti, albo Scleroparei) z morza Śródziemnego, odznacza się płetwami piersiowemi tak długiemi, że ich jak wachlarz rozszerzonych może jako skrzydeł a raczej jako spadochronu używać. Gdy w wodzie ściga ją jaka ryba żarłoczna, najczęściej *dorada*, wyskakuje wtedy z topieli z dziwną zręcznością i w powietrzu przebiega odległość do 600 stóp długą w rozmaitych kierunkach. *Djabeł* zaś *morski* czyli *żaboryb* (Lophius piscatorius), drapieżna i szkaradna ryba, mając przedręcze u płetw piersiowych przedłużone, może się podnosić na nich i łazić po dnie morza, a że przytem szparę oddechową ma małą, może 2—3 dni żyć też po za wodą.

Jeżeli wiatry przeszkadzają ptakom w locie ze słabemi skrzydłami, to prądy morskie zatrzymują także ryby z niedołężnemi płetwami. Lecz orzeł urąga wiatrom, jak też ryb silne gatunki opierają się najpotężniejszym morskim uraganom.

Jeżeli są ptaki, które latać nie umieją, są i ryby, co pływać dobrze nie potrafią, jak n. p. te, które żywot swój cały w błotach, bagnach, w mule przepędzają. Tam mamy *strusia* (Struthio caructus), *kazuara* (Casuarius galeatus) *nielota kiwi* (Aptheryx australis), *naudy* (Rhea americana) i t. p., tu są *ślizowate* ryby (Acanthopsides), które przebywają w wodach stojących, lub z dnem mulistem.

Coroczne wędrówki ryb w łonie głębin morskich odbywane są także podobnie do wędrówek ptaków. Jak tu tak i tam dążenie za pokarmem i chęć swobodnego rozmnażania się jest ich przyczyną, a i ryby i ptaki corocznie wracają do swojej ojczyzny, corocznie podczas tych wędrówek prześladowane przez człowieka, tysiącami tysięcy ofiar życie swe okupują.

Wędrówki te ryb, o których dokładnie powiadomieni jesteśmy od Duchamela, Milne-Edwardsa, Lacépéda, Andersona, Humboldta i wielu innych badaczy, są dotykalnym dowodem ich zmyślności. Razem żyjąc w wielkiej ilości i ciągle w jednej morza okolicy, objadłyby tę ostatnią ze wszystkich zapasów, a za nadejściem ostrej zimy te ryby, które do jej srogości nie są przyzwyczajone, wymarłyby biedaczki. To też instynkt i zaprawiona na doświadczeniu świadomość każe im szukać i dogodniejszej pod względem zapasów w żywność okolicy i przyjaźniejszej pod względem klimatu. Z tej to przyczyny widzimy n. p. *płastugę flądrę* (Platessa flesus), która powszechnie w morzach: Niemieckiem i Bałtyckiem żyje nad ich piaszczystemi i płaskiemi brzegami — widzimy ją często wchodzącą do Tamizy a nawet do Wisły, podchodzącą nieraz aż pod żelazny most łączący Pragę z Warszawą i tam zagrzebującą się w piasek, czyhającą na zdobycz, której dla niej zabrakło nad brzegami morza. Prześliczną, kształtną i użyteczną *makrelę* (Scomber scombrus) widzimy co miesiąc prawie, jak coraz w innych morza dzielnicach zakłada swe mieszkanie. — Makrela, której skóra wszystkich drogich kamieni i metali szlachetnych blaskiem olśniewa, jest rybą przebywającą głównie w oceanie Atlantyckim, w morzu Śródziemnem i w kanale La Manche. Lecz w każdej porze roku gdzieindziej ją natrafić można. To w nieprzebranem mnóstwie płynie ku brzegom Islandji, Szkocji, Irlandji i wrzuca się do Atlantyku i tu jako zbyt wielka armja wędrowna rozdziela się na korpusy, pułki i roty — z tych jedne przechodzą około brzegów Hiszpanji i Portugalji, dążąc na morze Śródziemne — drugie płyną na La Manche, spiesząc na Bałtyk, podczas gdy inne opływają brzegi Francji i Anglji a znów inne Holandję i Norwegję wizytują. Czy wędrówki makreli są co rok regularne, wątpią: Milne Edwards i Lacépéde, podczas gdy spostrzeżenia Duchamela wprost przeciwnie nas utwierdzają.

Jeżeli ptaki podzwrotnikowych krajów pysznem odznaczają się upierzeniem, to ryby pod względem świetności barw wcale im nie ustępują. Któż nie zna choć ze słyszenia wspaniałych *złotołusek antylskich* (Coryphaena hippurus), kto nie podziwiał cudnej ich łuski jakby szmaragdami i topazami w srebro oprawnemi wysadzanej? Zamieszkują one strefy gorące; gdy igrają w głębi mórz równikowych, pomieszane ich barwy przy świetle jaskrawem słońca, połyskują jak brylanty.

Lecz nie sądź szanowny czytelniku, by te wszystkie ryby, które tylko ze słyszenia znamy jako mieszkańców gorących stref, z całą pewnością nie mogły żyć u nas, lub w północnej strefy morzach? Jest to kwestja, której ważności nikt zaprzeczyć się nie ośmieli, a której rozwiązaniem bezustannie zajmują się zoologowie i aklimatyzacyjne towarzystwa — bez stanowczych dotąd rezultatów.

Znacie zapewne małą rybkę, którą trzymają powszechnie pod nazwą *złotej* (Cyprinus albo ca-

rassius aureatus) w akwarjach, fontannach, basenach, naczyniach szklannych itp. miejscach. Należy ona do rodziny *karpiowatych* (cyprynoidei), a historja jej aklimatyzacji jest zajmującą o tyle, że przytoczyć ją tutaj się odważę.

Złota, albo *czerwoną* rybką nazwana, pierwszy raz do Europy z Chin przywiezioną była przez Holendrów, w czasie, gdy ci ostatni zawiązywali stosunki z przylądkiem Dobrej Nadziei. Przywieziono ją w tem przekonaniu, że może uda się ją zaaklimatyzować w wodach naszego klimatu. I nie sądźcie, by próba była nadaremną. Złota rybka dziś u nas tak żyje dobrze, jak w wodach ogrzewanych promieniami gorących stref słońca. A choć nader rzadko spotkać ją można w pełni wód, to przyczyną tego nie jest klimat, lecz zwierzęta drapieżne, przed których wzrokiem z powodu świetnej swej barwy biedne stworzenie skryć się nie może. Złota rybka nie boi się zimna. Faktem jest, że Host, wiedeński naturalista przez zapomnienie pozostawił raz słój, w którym trzymał tę rybkę za oknem, podczas nocy zimowej w Austerlitz. Obudziwszy się nazajutrz, spostrzegł swe zapomnienie, a przybliżywszy się do słoja, przekonał się z bolem serca, iż woda zamarzła, a w niej ulubione jego stworzenie nieruchome, wydało mu się martwem. Nie tracąc jednak nadziei, stawia słój w letnią wodę, po chwili widzi jak rybka powoli próbować poczyna sił swoich, aż wreszcie na dobre po dawnemu w ogrzanej wodzie igra!

Złota rybka dochodzi do 10 cali długości, i podczas swojego żywota kilka razy zmienia swe suknie. W młodości jest ciemno-zielonej barwy z popielatym odcieniem, a sukienka jej skrzy się jakby djamentami była wysadzaną; powoli jednak z wiekiem zmienia stopniowo pierwotną swą barwę na piękną do złota podobną, od której też złotą rybką ją nazywamy. Z wiekiem w miejsce złotej, przyjmuje srebrną, lecz nie zawsze, są bowiem osobniki do śmierci pomarańczowego koloru, tak jak są z odcieniem ciemnoczerwonym, lub blado-różowym. Są znowu inne, które wszystkich tych barw ślady dają na sobie spostrzedz. Żyją wszystkie długo, a rodzą się z przeznaczeniem nie do małych słoików, nie do więziennej klatki na jedną stopę szerokiej. Przeciwnie niewola jest przyczyną małego jej wzrostu. Może rzadko tak dobitny znaleźć można dowód zabójczego wpływu niewoli na rozwój zwierzęcia, na jego wzrost, a ztąd siłę i sposób życia, jak właśnie nam to stworzenie przedstawia. Wpuszczona złota rybka w wieku 12 miesięcy do naczynia stopę mającego średnicy, jedenaście lat pozostawała w niem, nie powiększywszy wzrostu nawet o linję jedną, gdy tymczasem wpuszczonej w tym samym wieku do obszernego na kilkaset łokci basenu, w dziesięć miesięcy jej tam pobytu, już o 4 cale wzrost się powiększył.

Jak wielkim jest wpływ oswajania zwierząt na ich budowę, sposób życia itp. dowodzą nam niektóre rasy domowych naszych zwierząt jak n. p. psa, gołębia, kury, których odmiany na pierwszy rzut oka mogłyby śmiało być przyjętemi za zupełnie osobne gatunki w zoologicznem znaczeniu, na czem zresztą Darwin oparł nieocenioną swoją teorję zmienności gatunków. Jak pies, gołąb, kura względnie do upływu warunków życiowych nadzwyczajną przedstawiają nam rozmaitość, tak złota rybka, prócz wspomnianej odmiany we wzroście, zadziwiający i jedyny między rybami wskazuje nam przykład, możebności kompensaty jednego organu na drugi. *Niewola wpłynęła u niej na zatratę grzbietowej płetwy, nagradzając ją dodatkiem podogonowej.* Powtarzamy, iż ważny ten dowód teorji Darwina kompensaty organów *jedynym* jest pomiędzy rybami.

Sprostowanie.

W artykule w numerze poprzednim, na str. 514 w 3 szpalcie, wiersz 19 od góry, zamiast do *płaszczek*, powinno być do *poprzecznoustych*.

MATERJALIZM

z

L. ACKERMANN.

Nie tam w przyszłości, nic po za mogiłą —
W śmierci śmierć tylko, a nie przerodziny,
Z ciała, co martwą w grób upada bryłą,
Duch nie ulata do lepszej krainy!
Z nicości zrodzon, w nicość się wlewa,
I czy zeń tutaj ziarno czy plewa,
Czy w życia kole zwodniczem
Zmazał się zbrodnią, uświęcił cnotą,
Czy był geniuszem, czy był idjotą,
Zarówno zostaje — niczem!

Na owdowiałym Bożych potęg tronie
Natura dzisiaj rządy świata trzyma —
Ciągle pracują rodzicielki dłonie,
Stworzeniu końca jak początku nie ma...
Mnożą się mnożą planet mirjady,
Na każdym życia kiełkują ślady,
I łańcuch jestestw się splata...
Buja roślina, gad pełza, cudzie!
Z małp pomaleńku tworzą się ludzie
Dzisiejsi króle wszechświata!

Dzisiejsi, mówię, bo darmo nam pycha
Szepce że myśmy istnienia Omega —
Próbka w nas tylko, jako inne licha,
Form co nadejdą, i bytu przyszłego...
Kiedy natura tamte wypieści,
My pod jej tchnieniem zniknięm bez wieści
W chaosu mglistej zawiei...
A ze zgnieconej szczypty w nas błota,
Inna znikoma wstanie istota
By tejże uledz kolei!

I tak bez granic, bo któż te postawi?
I tak bez końca, bo któż ten naznaczy?
Kto Saturnowi co płód własny dławi
Zamiast Jowisza kamień poda raczej?
Nie masz Cybeli, ona macocha,
Po macoszemu dzieci swe kocha,
Z trumien ich szlaki swe mości,
I temi szlaki, pijana szałem,
Za niedościgłym mknie ideałem,
Co znika w nieskończoności!...

Pojąć to wszystko... Myśli błyskawice
Posłać za kordon, co światy rozdziela,
Jak Prometeusz życia tajemnicę
Wykraść zuchwale z skarbców Stworzyciela —
I przed tą straszną badań zdobyczą
Z bezsilną złością, z trwogą, z goryczą
Patrząc się w nicość co czeka,
Wzdychać ku dawnej z ufnością lidze,
Snów jej zazdrościć, choćby ostrydze,
Oto los parji człowieka!

Och! Gdyby można powrócić do wiary,
Pod Ewangelję podłożyć sumienie,
Wierzyć jak wierzył szereg wieków stary,
W piekielne smoły i w rajskie promienie...
Na to co rozum, szatan proroczy,
Zatulić uszy i zamknąć oczy,
Z zasady twierdząc „on kłamie!“
Przed buntującym wiedzy podmuchem
Jakby przed piekieł kuszącym duchem
Zbawienia nakreślić znamię!

Lecz nie! Zapóźno! Lecz nie!... Zadaleko!...
Umysł nasz zabiegł na krytyk bezdroże —
Z wiary praojców zerwawszy opieką
On pod jej skrzydła już wrócić nie może!
Niewczesne żale!... Idź plemię marne,
W żadnej przyszłości plon nie ciężarne.
Idź! I w rospaczy szaleństwie,
W oczy głupiemu drwiąc przeznaczeniu,
Źródeł pociechy li w złorzeczeniu...
Ulgi li szukaj w przekleństwie!

Paryż d. 5 października 1875 r.

Naśladował
J. S. Chamiec.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

ROZDZIAŁ XV.

(Ciąg dalszy.)

(Powrót. — Rozmowa. — Cyrus Smith i nieznajomy. — Przystań Balonowa. — Starania inżyniera. — Wzruszające doświadczenie. — Kilka łez ludzkich!)

Nazajutrz — 20 października — o godzinie siódmej z rana, po czterodniowej żegludze, osiadł Bonawentura lekko na piasku, u ujścia Dziękczynnej.

Cyrus Smith z Nabem, mocno zaniepokojeni burzą i tem, że towarzysze ich bawią tak długo, wyleźli o świcie na szczyt Wielkiej Terasy i ztamtąd ujrzeli wreszcie tak długo oczekiwany okręt.

— Chwała Bogu! Otóż i oni! zawołał Cyrus Smith.

Nab z radości począł tańczyć i kręcić się w koło i klaszcząc w ręce zawołał: „O, mój drogi panie!“ Pantomina ta była bardziej wzruszającą, niż najwymowniejsze słowa.

Pierwsza myśl, która przyszła inżynierowi, gdy liczył osoby stojące na pokładzie Bonawentury, była: że Pencroff nie znalazł rozbitka na wyspie Tabor, albo że tenże wzbraniał się porzucić swą wyspę i zamienić dotychczasowe swe więzienie na inne.

W samej rzeczy na pokładzie Bonawentury prócz Pencroffa, Gedeona Spiletta i Harberta nie było więcej nikogo.

W chwili gdy okręt przybijał, inżynier z Nabem oczekiwali go na brzegu, i zanim pasażerowie wyskoczyli na piasek, rzekł do nich Cyrus Smith:

— Spóźnienie wasze, przyjaciele, niepokoiło nas mocno! Przytrafiło się wam jakie nieszczęście?

— Nie odparł Gedeon Spilett, przeciwnie, wszystko powiodło się wybornie. Opowiemy ci to zaraz.

— Przedsięwzięcie wasze musiało jednak spełznąć na niczem, rzekł Cyrus Smith, skoro wracacie w trzech, jakeście wyjeżdzali?

— Za pozwoleniem, panie Cyrus, odparł marynarz, jest nas tu czterech!

— Więc znaleźliście rozbitka?

— Znaleźliśmy.

— I przywieźliście go?

— Przywieźliśmy.

— Żywego?

— Żywego.

— Gdzież jest? Kto on jest?

— Jest to, albo raczej był to człowiek! odparł korespondent. Więcej nie możemy ci nic powiedzieć, Cyrusie.

Opowiedziano więc natychmiast inżynierowi wszystko, co ich spotkało w podróży. Jak i wśród jakich okoliczności odbywano poszukiwania, jak jedyne na całej wysepce mieszkanie oddawna już stało pustką, wreszcie jak schwytano rozbitka, który jak się zdawało, przestał już należeć do rasy ludzkiej.

— I otóż dotąd nie wiem, dodał Pencroff, czyśmy dobrze zrobili, żeśmy go tu ze sobą przywieźli.

— Zapewne, żeście dobrze zrobili, Pencroffie! odparł żywo inżynier.

— Ale ten nieszczęsny jest całkiem pozbawiony rozumu!

— Teraz być może — odparł Cyrus Smith. Ale kilka miesięcy temu, nieszczęsny ten był człowiekiem takim jak ja, lub ty. I kto wie, coby się z każdym z nas stało, gdyby dłuższy czas przeżył samotnie na tej wyspie? Biada samotnym, przyjaciele moi; zdaje się, że odosobnienie od ludzi musiało prędko podkopać w nim rozum, kiedyście tę biedną istotę znaleźli w takim stanie!

— Lecz z czego pan to wnosisz, panie Cyrus, zapytał Harbert, że ten stan bydlęcy, w który popadł nieszczęśliwy, nie trwa dłużej, jak od kilku miesięcy?

— Z tego, że dokument, który znaleźliśmy, był świeżo napisany, odparł inżynier, i że tylko rozbitek sam mógł go napisać.

— Chyba, że napisał go towarzysz jego, który przez ten czas mógł umrzeć, zauważył Gedeon Spilett.

— To niepodobna, kochany Spilett.

— A to czemu? zapytał korespondent.

— Ponieważ w takim razie dokument wspominałby o dwóch rozbitkach, odparł Cyrus Smith, a wspomina tylko o jednym.

Harbert opowiedział w kilku słowach koleje żeglugi, kładąc szczególny nacisk na ów dziwny fakt chwilowego oprzytomnienia więźnia, gdy na chwilę, podczas najstraszniejszej burzy, odezwał się w nim nagle marynarz.

— Masz zupełną słuszność, Harbercie, przywiązując tak wielką wagę do tego faktu, odparł inżynier. Ten nieszczęsny nie jest z pewnością bez nadziei uleczenia, rozpacz to wtrąciła go w taki stan. Tutaj znajdzie ludzi sobie podobnych, a ponieważ ma jeszcze duszę, więc tę duszę ocalimy!

Wtedy wydobyto rozbitka wyspy Tabor z przedniej kajuty okrętu, w której się znajdował. Inżynier okazywał wielką litość nad nim, a Nab wielkie zdumienie. Nieszczęsny, skoro tylko dotknął stopą ziemi, objawił natychmiast chęć ucieczki.

Lecz Cyrus Smith, zbliżywszy się do niego, z giestem pełnym godności położył mu rękę na jego ramieniu i patrzył na niego z niewymowną słodyczą. Nieszczęsny, jak gdyby pokonany chwilowym wpływem przewagi moralnej, uspokoił się zwolna, spuścił w dół oczy, pochylił czoło, i nie stawiał więcej żadnego oporu.

— Biedny samotnik! szepnął inżynier.

Cyrus Smith przypatrywał mu się uważnie. Na pozór nieszczęśliwa ta istota nie miała w sobie nic ludzkiego, lecz Cyrus Smith, tak jak poprzednio korespondent, odkrył w jego wzroku jak gdyby przelotny błysk rozumu.

Postanowiono więc odludka, albo raczej nieznajomego — gdyż tem mianem nazywali go odtąd nowi jego towarzysze — umieścić w jednej z izb Pałacu Granitowego, zkądby nie mógł im uciec. Dał się zaprowadzić bez oporu i przy ciągłej pieczy a staraniu, można mieć było nadzieję, że kiedyś osadnikom wyspy Lincolna przybędzie w osobie jego nowy towarzysz.

Cyrus Smith podczas śniadania, które Nab zastawił co prędzej — gdyż Pencroff, korespondent i Harbert umierali prawie z głodu — kazał sobie opowiedzieć z wszystkiemi ważniejszemi szczegółami wyprawę i pobyt na wyspie Tabor. Zgodził się pod tym względem zupełnie z przyjaciołmi, że nieznajomy musiał być z pochodzenia Anglikiem lub Amerykaninem; myśl tę nasuwała nazwa okrętu „Brytanja,“ prócz tego zdawało się inżynierowi, że z pod tego zarostu zapuszczonego i tych długich kudłów spadających z głowy, przebijają charakterystyczne rysy anglo-saksońskiej rasy.

— Lecz wracając do rzeczy, rzekł Gedeon Spilett do Harberta, nie opowiedziałeś nam jeszcze dotychczas jakim sposobem spotkałeś się z tym dzikim człowiekiem. Dotąd wiemy tylko, że byłby cię pewnie udusił, gdyby się nam nie było udało przybiedz ci na czas w pomoc.

— Dalibóg, trudno mi opowiedzieć, jak się to stało, odparł Harbert. Byłem właśnie, jak mi się zdaje, zajęty zbiorem nasion, gdy nagle usłyszałem jakgdyby łoskot lawiny spadającej z wysokiego drzewa. Zaledwie miałem czas odwrócić się... Ten nieszczęsny, który zapewne siedział ukryty na drzewie, rzucił się na mnie. Wszystko to razem nie trwało tak długo, jak tu opowiadam, i gdyby nie pan Spilett i Pencroff...

— Moje dziecię! rzekł Cyrus Smith, byłeś istotnie w niebezpieczeństwie, lecz gdyby nie to, możebyście byli nie znaleźli tej biednej istoty i nie mielibyśmy jednego towarzysza więcej.

— Więc masz nadzieję, Cyrusie, że ci się uda wskrzesić w nim na nowo człowieka? zapytał korespondent.

— Mam nadzieję, odparł inżynier.

Po śniadaniu Cyrus Smith z towarzyszami swymi powrócili nazad na brzeg morza. Tu przystąpiono do wyładowania z okrętu przywiezionych przedmiotów. Inżynier przepatrzył dokładnie wszystką broń i narzędzia, nie znalazł jednak najmniejszej wskazówki co do osoby nieznajomego.

Nierogaciznę schwytaną na wysepce, uznano za wielce cenny dla wyspy Lincolna nabytek. Zaprowadzono ją do obory, gdzie z łatwością mogła się oswoić.

Obie baryłki zawierające: jedna proch, a druga śrót, podobnie jak i pudełko z kapslami, doznały najlepszego przyjęcia. Postanowiono nawet założyć małą prochownię, albo po za Pałacem Granitowym, albo też w górnej pieczarze, gdzie nie groziło najmniejsze niebezpieczeństwo wybuchu. Mimo to miano i nadal używać pyroksylu, substancja ta bowiem dawała znakomite rezultaty, nie było więc powodu zastępywać ją zwyczajnym prochem.

Gdy okręt wyładowano, odezwał się Pencroff:

— Sądziłbym, panie Cyrus, że byłoby roztropnie, umieścić Bonawenturę w miejscu bezpiecznem.

— Albożmu nie dobrze przy ujściu Dziękczynnej? zapytał Cyrus Smith.

— Nie, panie Cyrus, odparł marynarz. Połowę czasu siedzi na piasku, i to go osłabia. Bo widzisz pan, jest to sobie chwacki okręcik i dzielnie się trzymał podczas burzy, która nas zapadła w powrocie.

— Czy nie możnaby go utrzymać na wodzie, w samej rzece?

— Możnaby, bez wątpienia, panie Cyrus, ale to ujście nie przedstawia żadnego schronienia, i sądzę, że przy wiatrach wschodnich, mógłby Bonawentura wiele ucierpieć od morskich bałwanów.

— Więc gdzież go chcesz umieścić, Pencroffie?

— W porcie Balonowym, odparł marynarz. Mała ta przystań, ze wszystkich stron zasłoniona skałami, wydaje się jakby stworzoną dla niego.

— Czy nie zadaleko to trochę?

— Ba! od pałacu Granitowego nie dalej jak trzy mile, i to gładką drogą, prosto jak strzelił!

— Dobrze więc, Pencroffie, odprowadź Bonawenturę na jego miejsce, odparł inżynier chociaż jabym go wolał mieć bliżej pod okiem. Gdy będziemy mieli czas, musimy dla niego urządzić mały porcik.

— Wyśmienicie! zawołał Pencroff. Port z farusem, z tamą i z warstatem okrętowym! Nie! doprawdy, panie Cyrus, przy panu wszystko jest bagatelą!

— Tak jest, mój dzielny Pencroffie — odparł inżynier — lecz tylko wtedy, gdy ty mi dopomagasz, w każdej naszej robocie trzy czwarte części zasługi do ciebie należą!

Harbert z marynarzem wsiedli więc znów na Bonawenturę, podnieśli kotwicę, rozpięli żagiel i pędzeni wiatrem mknęli szybko ku przylądkowi Ostrego Szponu. W dwie godziny później spoczywał okręt na spokojnych wodach przystani Balonowej.

Czyli też nieznajomy w pierwszych dniach swojego pobytu w Pałacu Granitowym zdradzał czemkolwiek, że zdziczała natura jego złagodniała? Czy na dnie tego zamglonego umysłu błysnęło żywsze światełko? Czy wreszcie obudzała się na nowo dusza w tem ciele? Tak, bez żadnej wątpliwości, i to do tego stopnia, że Cyrus Smith i korespondent zapytywali sami siebie, czyli u tego nieszczęśliwego wygasł był kiedy rozum do szczętu.

Zrazu, przywykł żyć bezustannie pod gołem niebem; do tej wolności nieskielzanej, jakiej używał na wyspie Tabor, objawiał nieznajomy kilkakrotnie przytłumioną wściekłość, tak że obawiano się, by przez okno Pałacu Granitowego nie rzucił się na dół. Zwolna jednak uspokajał się coraz więcej i można mu było pozwolić swobodnie się poruszać.

Była więc nadzieja i to nie mała. Już pozbył się był popędu mięsożerczego i przyjmował pokarm mniej bydlęcy niż ten, jakim się żywił na wysepce, a mięso gotowane nie obudzało w nim więcej tego wstrętu, jaki objawił na pokładzie Bonawentury.

Cyrus Smith korzystając raz z chwili, kiedy nieznajomy spał, obstrzygł mu włosy i ów gęsty zarost na twarzy, które tworzyły razem rodzaj grzywy i nadawały mu pozór tak dziki. Zdjął z niego także szmatę, którą się opasywał, i przyodział go należycie. Dzięki tym staraniom nieznajomy odzyskał napowrót twarz ludzką i zdawało się nawet, że wzrok jego złagodniał. Widocznem było, że twarz tego człowieka, gdy ją ożywiał jeszcze promień inteligencji, musiała być nawet piękną.

Cyrus Smith wziął sobie za zadanie spe-

dzać codziennie kilka godzin w jego towarzystwie. Pracował przy nim i zajmował się różnemi rzeczami w ten sposób, aby zwrócić jego uwagę. Wszak jeden błysk mógł wystarczyć, aby rozświecić na nowo tę duszę, jedno wspomnienie, aby wskrzesić rozum w tym mózgu. Wszak widzieli go, jakim był podczas burzy na pokładzie Bonawentury!

Prócz tego zwykł był inżynier mówić przy nim głośno, tak by zarówno za pomocą słuchu i wzroku przenikać do głębi ten umysł strętwiały. Pomagali mu w tem czasem ten, czasem ów towarzysz, a czasem wszyscy razem. Najczęściej rozmawiali o rzeczach dotyczących żeglarstwa, które więcej od innych musiały obchodzić żeglarza. Chwilami zdawało się, że nieznajomy zwracał niby uwagę na to, co mówiono, i wkrótce przyszli osadnicy nasi do przekonania, że ich poczęści rozumie. Czasami nawet twarz jego przybierała wyraz niezmiernie bolesny, co świadczyło o wewnętrznem cierpieniu, gdyż twarz jego nie mogła kłamać do tego stopnia; mimo to milczał ciągle, chociaż kilka razy zdawało się, jakoby z ust jego wymknęło się słów kilka.

Bądź co bądź, ta biedna istota była spokojną i smutną! Ale czy spokój ten nie był tylko pozornym? Czy smutek ten nie był tylko skutkiem niewoli? Na to niepodobna było jeszcze odpowiedzieć. Ponieważ patrzał tylko na pewne przedmioty i to w obrębie ograniczonym, ponieważ zostawał w ciągłej styczności z osadnikami, do których musiał w końcu przywyknąć, żadnych nie miał potrzeb, lepiej był żywiony, lepiej odziany, więc natura jego fizyczna musiała się zwolna odmienić, ale czy to był ogień nowego życia, który go przenikał, czyli też, ażeby użyć wyrazu, który właśnie do niego dał się zastosować, przyswajał się tylko jak zwierzę do swojego pana? Była to kwestja nadzwyczaj ważna i Cyrus Smith niecierpliwił się, ażeby ją coprędzej rozwiązać, lecz nie chciał naglić chorego! Dla niego nieznajomy był tylko chorym! Czy też ten chory wyzdrowieje kiedy?

Inżynier śledził go dzień i noc! Jak on czatował na tę duszę, jeśli się godzi tak wyrazić! Jak on każdej chwili był gotów ją uchwycić i przytrzymać!

Osadnicy z żywem współczuciem śledzili wszystkie fazy tej kuracji podjętej przez Cyrusa Smitha. Pomagali mu także w tem dziele ludzkości, i wszyscy, z wyjątkiem może niewiernego Pencroffa, podzielali wkrótce jego ufność i nadzieję.

Nieznajomy, jak powiedzieliśmy, był zupełnie spokojny i okazywał dla inżyniera, którego wpływ wyraźnie uczuwał, rodzaj przywiązania. Cyrus Smith postanowił zatem przedsięwziąć z nim próbę, przenieść go w inne miejsce, przed ten Ocean, na który oczy jego zwykły były dawniej patrzeć, na brzeg boru, który miał mu przypomnieć owe lasy, w których upłynęło tyle lat jego życia!

— Lecz możemy-ż być pewni — rzekł Gedeon Spilett — że puszczony na wolność, nie umknie nam?

— Jest to próba, którą trzeba przedsięwziąć — odparł inżynier.

— Niech będzie! — rzekł Pencroff. — Skoro kawaler nasz zobaczy tylko przed sobą czyste pole i poczuje wolność, drapnie, że aż się za nim zakurzy!

— Ja tak nie sądzę, — odparł Cyrus Smith.

— Sprobujmy więc — rzekł Gedeon Spilett.

— Sprobujmy — odparł inżynier.

Tego dnia, a było to 30. października, upłynęło było właśnie dziewięć dni, jak rozbitek z wyspy Tabor siedział uwięziony w Pałacu Granitowym. Na dworze był upał i słońce ciskało na ziemię jaskrawe promienie.

Cyrus Smith z Pencroffem udali się do izby zamieszkiwanej przez nieznajomego i zastali go leżącego przy oknie i patrzącego w niebo.

— Chodź, przyjacielu — rzekł do niego inżynier.

Nieznajomy powstał natychmiast z ziemi. Wlepił naprzód wzrok w Cyrusa Smitha, potem szedł za nim, podczas gdy marynarz, który nie wiele obiecywał sobie po całej tej próbie, krok w krok postępował za nieznajomym.

Skoro przybyli do drzwi, Cyrus Smith i Pencroff kazali mu wsiąść do kosza, podczas gdy Nab, Harbert i Gedeon Spilett czekali na niego u stóp Pałacu Granitowego. Kosz spuścił się na dół i w kilka chwil potem byli wszyscy zgromadzeni nad brzegiem morza.

Osadnicy oddalili się nieco od nieznajomego, aby mu pozostawić więcej wolności.

Nieznajomy postąpił kilka kroków naprzód, ku morzu, i oko jego zapłonęło nagle żywym ogniem, lecz nie próbował bynajmniej ucieczki. Patrzał tylko na fale morskie, które łamiąc się o wysepkę, konały zwolna na piasku.

— To tylko morze — zauważył Gedeon Spilett — łatwo przypuścić, że nie pobudza w nim chęci do ucieczki!

— Tak jest — odparł Cyrus Smith — trzeba go zawieść na terasę, na brzeg lasu. Z tej próby prędzej da się coś wywnioskować.

— Zresztą nie będzie mógł uciec — zauważył Nab — bo wszystkie mosty są zwiedzione.

— O! właśnie też miałby się czem odstraszyć, to takim strumyczkiem, jak Potok Glycerynowy? — zawołał Pencroff. — Jednym susem by go przeskoczył!

— Obaczymy — odparł Cyrus Smith, który nie spuszczał oka ze swojego pacjenta.

Zaprowadzono go teraz ku ujściu Dziękczynnej, i lewym brzegiem rzeki weszli wszyscy na Wielką Terasę.

Przybywszy w to miejsce, gdzie się zaczynały pierwsze wspaniałe drzewa boru, których liście z lekka kołysał wietrzyk, nieznajomy zdawał się połykać chciwie tę woń przejmującą, rozlaną w powietrzu, i głębokie westchnienie wydarło się z jego piersi!

Osadnicy stali z tyłu, gotowi zatrzymać go przy pierwszym kroku do ucieczki!

I w samej rzeczy biedna istota już-już miała się rzucić w potok dzielący ich od lasu, skupił nogi do skoku jak sprężynę.... lecz w tej samej prawie chwili cofnął się nazad, przykląkł na wpół, i duża łza spłynęła mu po twarzy!

— A! płaczesz! — zawołał Cyrus Smith — więc jesteś znów człowiekiem!

(C. d. n.)

POGADANKI.

L.

Zima! Cieszą się myśliwi, bo na śniegu łatwo zwierzynę otropić, a hr. Namiestnik dał już pierwsze polowanie, na którem ubito kilka pięknych odyńców; cieszą się zwolennicy sportu łyżwowego, bo na stawie Panieńskim lód już gruby i muzyka ochoczo przygrywa — ale martwią się biedacy, gdyż drzewo coraz droższe, a z niemi martwię się i ja, bo w zastępstwie p. Lama, który przez zimę od dziesięciu dni leży w łóżku, muszę dziś pisać pogadankę, chociaż brak mi humoru, a może i tematu. Mam jednak nadzieję, że zło nie przeciągnie się długo, i że w przyszłym tygodniu, szanowny mój kolega, wolny od kataru i gorączki, zacznie jak dawniej gawędzić lekko i dowcipnie. Chociaż tydzień ubiegły nie przyniósł nam żadnej rzeczy nadzwyczajnej, wydarzyło się jednak kilka takich, które zasługują na zanotowanie; a że nas, dziennikarzy i pisarzy, obchodzi przedewszystkiem dziennikarstwo i piśmiennictwo, więc popatrzmy co się stało nowego w tych dwóch kierunkach. Najpierw postawiliśmy nagrobek *Ojczyźnie*, na szczęście nie tej, która tylko upadła, ale nie umarła, lecz tej papierowej, która od jednastu miesięcy pojawiała się we Lwowie każdego poranku z wyjątkiem dni poświątecznych. Biedaczka umarła – na suchoty I nie mogło być inaczej. Medycyna uczy, że są organizmy, które już na świat przychodzą z zarodami tej straszliwej choroby. W programie, a zaraz potem w pierwszym numerze *Ojczyzny*, widzieliśmy zarody suchot, i dla tego jej śmierć wcale nas nie zadziwiła. Dziennik nie może być prowadzony po dyletancku. Dziennikarstwo wymaga wielkiej rutyny i wybitnych zdolności, a kto bez nich przystępuje do wydawania jakiegokolwiek pisma, tego prędzej lub później bolesne spotka rozczarowanie. *Głos*, *Hasło*, *Kraj*, *Ojczyzna* nie miały dziennikarzy i upadły, mimo że razem kosztowały przeszło 160.000 guldenów, a utrzymały się *Gazeta Narodowa* i *Dziennik Polski*, rozpoczęte bardzo małemi funduszami.

Rzucając garść ziemi na trumnę tak wcześnie zgasłej nieboszczki, nie możemy nie wyznać, że śmierć ta zasmuca nas nieco. Istniejące już dzienniki lwowskie, potrzebują jeszcze trzeciego, któryby współzawodnictwem zmuszał je do bezustannego rozwoju. Dziś po upadku rywalki, gotowe obadwa usnąć na laurach—a to by było najgorsze.

* * *

Drugim ważnym faktem ubiegłego tygodnia, był wyjazd niemieckich przedsiębiorców, którzy w teatrze przez 17 dni z rzędu kazali naszym artystom podróżować do około ziemi. Publiczność była już w prawdziwej rozpaczy, widząc każdego dnia rano jeden i ten sam afisz na wszystkich rogach ulic, zwłaszcza, że przedsiębiorcy wiedeńscy nie przywieźli nam nic takiego, coby mogło zadowolić bodaj skromne wymagania. Aligatory kaszlały po ludzku i łaziły powoli jak żółwie; małpa spuszczała się w dziewiczym lesie indyjskim nie po drzewie, ale po sznurze, jakby tam sznury dziko rosły; węże wyciągane z rozpadlin grubemi powrozami, które widziano nawet z galerji, żadnym sposobem nie chciały opleść Audy, mimo szczerej z jej strony zachęty; ceratowe wagony kolejowe i blaszana lokomotywa wydawały wojnę najmniej skomplikowanej maszynerji, a okręt był nierównie gorszy, jak nasz lwowski, który oglądamy w *Afrykance* lub *Stryju Samie*. Z wyjątkiem kilku dekoracyj, całość była bardzo mizerna, i gdyby nie dobra gra naszych artystów, a między nimi szczególnie p. Fiszera, 17 przedstawień z rzędu należałyby we Lwowie do rzeczy niemożliwych.

Po pierwszem zaraz przedstawieniu słyszeliśmy głosy, że cała „Podróż“ jest szopką dla dzieci, a nie produkcją dla ludzi dorosłych; tymczasem doświadczenie przekonało, że we Lwowie z trudnością znaleźlibyśmy dorosłego człowieka, któryby nie chciał był widzieć tej szopki. I nie dla tego wszyscy spieszyli, by się czegoś nauczyć, bo sceniczne to widowisko jest tylko słabym odblaskiem genjalnej powieści Juljusza Verne, według której zostało ułożone — ale żeby się rozerwać. To pragnienie rozrywki, objawiające się dziś w każdem społeczeństwie europejskiem, wcale nas nie dziwi. Czy nie spotkaliście kiedy człowieka, sędziwego a głośnego z rozumu i praktycznej pracy, jak stanąwszy przed gromadką dzieci bawił się ich pustotami, lub patrząc na teatrzyk marjonetek śmiał się z całego serca? Wam mogło się wtedy zdawać, że mędrzec zdziecinniał, gdy on natomiast tylko znękaną myśl odświeżał. Nasz wiek, to ów starzec. Więcej on ma rozumu jak wszystkie, które go poprzedziły, a jego praca i zawody nie mają także sobie równych. Wielka Rewolucja zostawiła mu w spuściźnie tysiące spraw niezałatwionych, nad któremi myśli siwieją. Nie ma takiej kwestji państwowej, narodowej, religijnej, naukowej, społecznej, a nawet rodzinnej, którejby się nie starał rozwiązać. Na jego ciele tysiąc ran otwartych — co krok dramat, nawet tragedja. Społeczeństwo tak żyjące potrzebuje myśl odświeżać, i dla tego to lekkie komedje, farsy, szopki, mają powodzenie!...

* * *

Towarzystwo pedagogiczne rozpoczęło jak według zwyczaju szereg popularnych odczytów dla kobiet. Słyszeliśmy p. St. Grudzińskiego mówiącego o poezji i społeczeństwie dzisiejszem, i cieszyła nas werwa, z jaką prelegent wypowiadał swoje zapatrywania; żal nam tylko, że większą ich połowę musimy uznać za zupełnie błędną. P. Grudziński skarżył się, że młodzi nasi poeci nie doznają ze strony społeczeństwa takiego poparcia, na jakie zasługują, i objawił przekonanie, że poezja, jak malarstwo, rzeźbiarstwo i inne gałęzie sztuki, powinna być zawodem dla siebie, a więc ten, kto ją uprawia, nie potrzebuje oddawać się żadnemu innemu zajęciu, ani moralnemu, ani fizycznemu... Otóż z tym poglądem żadną miarą nie możemy się zgodzić. P. Z. Sawczyński, w mowie wygłoszonej na wieczorku Akademickim, mimo długiego szeregu paradoksów, wypowiedział jednę wielką prawdę, mianowicie tę „że społeczeństwo nasze nie zobojętniało dla ideałów, ale dla ich reprezentantów. Cóż temu winne ideały, że zamiast poetów mamy partaczów.“ Chociaż bardzo szorstko, p. S. wybornie scharakteryzował stosunek dzisiejszego społeczeństwa do współczesnej poezji. Jeszcze ten, kto zręcznie wierszuje, nie zasługuje na zaszczytną nazwę *poety!* Młodzi ludzie, pisujący zgrabne wierszyki, powinni nawet przez dobrze zrozumianą skromność prosić, by ich tak nie nazywano. Wszak dziś, po tak świetnem wyrobieniu formy przez naszych prawdziwych poetów, nawet studenci gimnazjalni pisują wcale ładne poezyjki, a czyż dla tego są poetami! Społeczeństwo ma zmysł wyborny; ono prawdziwy talent natychmiast przeczuje i oceni. Chcąc moglibyśmy wskazać przykład, ale my tego nie uczynimy, bo go każdy znajdzie... Społeczeństwo nasze jest bardzo pobłażliwe dla wszystkich dosiadających pegaza, bo ich nie wyśmiewa nawet wtedy, gdy na to zasługują. Żaden talent prawdziwy nie potrzebuje żebrać uznania, bo on zmusza ogół, aby go uznał. Kto zaś nie ma prawdziwego talentu, ten choćby najwyżej wyśrubowany, padnie i tylko śmiechem się okryje. Tak było zawsze i wszędzie.

Błędne jest także mniemanie, jakoby poezja sama mogła być zawodem. Każdy zawód jest trwałym, ciągłym, poezja zaś, będąca natchnieniem, pojawia się tylko przelotnie. Jako taki objaw, bardzo łatwo godzi się z każdym zawodem sobie pokrewnym, i tylko poeci głowy, nie serca, poeci sztucznych efektów, nie prawdziwego uczucia, potrzebują po całych dniach nad nią się mozolić. Ale u takich boska ta iskra jest już nie zawodem, lecz rzemiosłem.

Poezja nie może być zawodem także ze względów materjalnych. Malarstwo, rzeźba, muzyka, budownictwo, są sztukami kosmopolitecznemi, dla wszystkich przystępnemi, gdy natomiast poezja zamyka się najczęściej w granicach pewnego narodu. Wspaniałych obrazów, chociażby nie zupełnie oryginalnych, można dużo wymalować, i wszystkie się rozejdą — ale dwóch poematów do siebie podobnych jednemu i temu samemu poecie nie wolno napisać. Rubens sprzedał 2.000 dzieł swego pędzla, a gdzie poeta, któryby stworzył przynajmniej 100 dobrych poematów? Rozumieli to dobrze tacy wielcy poeci jak Szekspir, Goethe, Mickiewicz, i tylu tylu innych, i dla tego pracowali w rozmaitych zawodach, nie szkodząc tem bynajmniej poetycznemu swemu talentowi. Gdyby Wiktor Hugo, ten największy z żyjących poetów, nie pisał był powieści i dramatów, życie jego byłoby bardzo skromne, a może nawet złamane... A cóż dopiero mówić o poetach polskich, których nie cały świat, lecz tylko Polacy czytać mogą, i w dodatku tych, którzy dziś gwałtem żądają by byli czczeni, chociaż na to nie zasługują? Nie, prawdziwa poezja godziła się zawsze i wszędzie z każdym poczciwym zawodem — w pracy i w walce z życiem nabierała siły, a gdyby raz otrzymała nazwę odrębnego zawodu — zostałaby rzemiosłem.

Jeżeli uwagi nasze, jako zbyt suche bo pozytywne, nie przekonają p. G. to złożywszy przed nim broń, postawimy wniosek następujący:

Miasto Lwów zbierze odpowiednie fundusze, i w miejscu najstosowniejszem, choćby np. na Kulparkowie, wystawi olbrzymi pałac, na wzór gmachu drohowyzkiego, w którym zostaną pomieszczeni wszyscy młodzi ludzie zdradzający talent poetycki. Ponieważ każdy człowiek zdolniejszy, pisuje w młodości zgrabne wierszyki, i ponieważ społeczeństwo wiedzieć nie może, który z tych młodych rymotwórców zostanie z czasem prawdziwym poetą, przeto w pensjonacie, o którym mowa, będą wszyscy pomieszczeni. Postępując tą drogą, zbierzemy do kilku lat najmniej 20.000 kandydatów do Olimpu. Wychowywani starannie i karmieni szpakami, młodzi poeci po dojściu do pełnoletności będą rozsyłani po kraju, a gdy ten przesyci się nimi jak woda cukrem, gdy już każdy powiat będzie miał kilku swoich wieszczów, których notabene będzie musiał karmić, ubierać, myć i czesać — pozostali zostaną wysłani za granicę, w klatkach jak słowiki nadwiślańskie, aby śpiewali Francuzom, Niemcom, Anglikom i Amerykanom, którzy mimo wysokiej swojej cywilizacji, nie założyli jeszcze pensjonatów dla młodych wieszczów.

Oto nasz projekt. Dyskusja nad nim otwarta.

Józef Rogosz.

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

„I zbliżyła się do mnie dziewica,
W czystej bieli, z zadumanym wzrokiem.
Jak posągi greckie miała lica,
Szła poważnie w myśleniu głębokiem;
Szła — i postać nachyliwszy wiotką:
„Jam śmierć twoja!“ — rzekła do mnie słodko.

„Lewą ręką serce uspię twoje,
Jako matka usypia dziecinę;
Prawą oczu przysłonię ci dwoje,
Skrzydła duszy wolno ci rozwinę,
I ulecisz od bolów, jak płomień
W światło, w życie wieczne—nowy promień!“

Ostatnie poezje.

Zamierzyliśmy sobie w niniejszej rozprawie mówić o pisarzu, który wprawdzie w literaturze naszej nie zajął pierwszorzędnego stanowiska, ale w krótkiem swojem życiu nieustannie doń dążył i okazywał niezaprzeczone cechy wyższego talentu. Że nie ziścił w zupełności tych nadziei które obudził, że zabłysnął tylko meteorycznie, nie jego w tem wina. Dłoń Boża sieje zdolności w dusze wybrane i wschodzą jak kwiaty na łące: jednym dano rozkwitnąć, zajaśnieć w świetnej okazałości i cudownemi kolory rozradować oczy tych, którzy patrzali na ich rozkwit; inne wczesny szron zwarzy i padną jak kosą podcięte, zostawiając żal po sobie, jako owe wdzięczne fiołki, które już do snu śmiertelnego zwarły swoje kielichy, nie zdoławszy ostatnich tchnień wonnych wydobyć ze zranionych piersi...

Mieczysław Romanowski w kwiecie wieku, bo nie domierzywszy jeszcze kresu lat trzydziestu, i w chwili, kiedy poetyczny duch jego do wyższych zrywał się lotów, położył żywot za ojczyznę w ostatniej wojnie narodowej. Nie wypełnił zatem i nie mógł żadną miarą w całości wypełnić zawodu, który obrał; z tem wszystkiem jednak, utworami, które pozostawił, stanął w rzędzie zdolniejszych pisarzów i wywalczył sobie w dziejach piśmiennictwa naszego stanowisko, prawda, jedno z dalszych, ale zawsze zaszczytne, i nie może być jak wielu innych pominiętym. Pod tym względem ma on sobie podobnych: z liczby poetów dawniejszych, w Klemensie Janickim lub Sępie Szarzyńskim, którzy także nie dokończyli swego zawodu, a przecież zasłużyli sobie na bardzo chlubne wspomnienie w historji literatury — z nowszych w Maurycym Gosławskim lub Edmundzie Wasilewskim. To jest jedna przyczyna, która niech posłuży za usprawiedliwienie, dlaczego o M. Romanowskim obszerniej pomówić zamierzamy. Jest wszelako jeszcze inny powód, który nas skłania do przypomnienia osoby i utworów tego pisarza naszym czytelnikom. W dziejach umysłowego ruchu naszej prowincji, w historji rozwoju literatury narodowej w Galicji, jest Romanowski bardzo wdzięczną i ze wszech miar sympatyczną postacią. Wrażenie, jakie utworami swemi sprawiał na powszechności czytelników, było zaiste niepoślednie; sam zaś swego czasu — szczególnie w stolicy prowincji naszej we Lwowie — umiał zjednać sobie nietylko szacunek, ale powiemy więcej: pewne uwielbienie nawet. Sądzimy zatem, że nie bez interesu będzie rzecz o pisarzu, który i jako poeta na wspomnienie zasługuje i sam jest posta-

*

cią, ze wszech miar bardzo blisko nas obchodzącą.

Mieczysław Romanowski urodził się dnia 12go kwietnia 1834 roku w Żukowie, wiosce obwodu kołomyjskiego, z ojca Erazma i matki Agnieszki z Głowackich Romanowskiej. Była rodzina Romanowskich szlachecką, pieczętującą się herbem Boża-wola, z dawna osiadłą w tych stronach, a ojciec naszego poety, ówczesny właściciel Żukowa, jako człowiek prawy i wielki miłośnik spraw i rzeczy ojczystych, u okolicznego obywatelstwa miał niepospolite zachowanie. Rodzicami chrzestnymi Mieczysława byli hr. Stanisław Dieduszycki, właściciel Gwoźdźca starego, i pani Dwernicka, dziedziczka Rakowca. Był nasz poeta najmłodszym w rodzeństwie składającem się prócz niego z dwóch sióstr i trzech braci. Pierwsze wychowanie odebrał w domu rodzicielskim pod okiem troskliwego ojca i troskliwszej jeszcze matki, kobiety zacnej i wielce patrjotycznej i niepoślednio wykształconej. Elementarne wiadomości wdrożył pacholęciu mentor domowy, niejaki Zabilski; dopiero do trzeciej klasy normalnej oddano Mieczysława do Kołomyi, do szkoły publicznej. Gimnazjum przeszedł i ukończył w Stanisławowie. Ciekawy jest fakt jeden ze studenckiego życia przyszłego poety, rzucający mocne światło na cały jego późniejszy los i zawód. Napomknęliśmy już, że w domu rodzicielskim odbierał wzory cnót obywatelskich. Jeżeli tak było, cóż dziwnego, iż w czternastoletniem chłopięciu, uczniu zaledwie czwartej klasy gimnazjalnej, obudziły się pragnienia, przechodzące wiek i siły, prawie jeszcze dziecięce? Były to czasy żywszego wszędzie prądu, był to rok 1848. Niedorosłe pacholę przybyło pieszo ze szkół pod rodzinną strzechę, ze łzą w oku i serdecznem błaganiem, ażeby dziarskie jego chęci zaspokoić wpisaniem do gwardji narodowej... Musiano uczynić zadość natarczywości bohatyrskiego dziecięcia, które też zaraz potem powróciło do ławy szkolnej.

„Tyś dziecko! — tak mówią i młodzi i starzy;
O·mędrcy! co wieku szukacie na twarzy,
Spojrzyjcie w to oko, co żarem mu płonie,
W to serce, co młotem wybija mu w łonie —
I okiem chirurga zajrzyjcie do czaszki,
Skąd dawno uciekły dziecinne igraszki,
A gdzie już niejedna myśl szczytna, choć smętna,
Z łoskotem i blaskiem piorunu tam padła...“

Po skończonem w Stanisławowie gimnazjum, udał się Romanowski do Lwowa, ażeby stosownie do woli ojca poświęcić się studjom prawniczym w uniwersytecie tego miasta. Było to w roku 1852, kiedy przybył do stolicy Galicji. Oddał się zaraz pracy swego zawodu i uczęszczał na wykłady naznaczonych sobie przedmiotów bardzo pilnie; wszelako już w samych początkach tych studjów upatrywał, że korzyści praktycznej z nich nie odniesie. Nadmienić należy, że Romanowski, ucząc się prawa, nie uczuwał żadnej ochoty do służby w urzędzie publicznym, ani do praktyki adwokackiej; a serce i umysł jego od zimnych paragrafów kierowały się wówczas i wychylały ku innym, piękniejszym światom. W duszy żywego młodzieńca budzić się poczęła, ręką Bożą posiana poezja i ona wskazała mu niebawem najwłaściwsze pole do pracy.

Jakoż wystąpił i zwrócił na siebie odrazu powszechną uwagę. Było to w roku 1854. Najpierwsze utwory poetyczne Mieczysława Romanowskiego spotykamy w *Nowinach*, czasopiśmie literackiem, wychodzącem podówczas we Lwowie staraniem i nakładem księgarza Kallenbacha.

* * *

Zanim przystąpimy do skreślenia dalszych kolei żywota naszego poety, tudzież do scharakteryzowania autorskiej jego działalności, mniemamy, że konieczną jest dla nas rzeczą zastanowić się najprzód choćby tylko pobieżnie nad kierunkami, w jakich się uwydatniały piśmiennicze usiłowania prowincji naszej w tej epoce czasu. Osoba poety, postawiona na tle wieku, nie będzie wtedy izolowaną i ukaże się nam we właściwem świetle.

Nie myślimy jednak roztaczać tutaj przed oczyma czytelników całego obrazu ruchu piśmienniczego w Galicji, od jego początków aż do czasu wystąpienia autora „Dziewczęcia z Sącza.“ Przedsięwzięcie takie, aczkolwiek wdzięczne i nie bez powszechniejszego interesu, oderwałoby nas i oddaliło od osoby pisarza, o którym mówić zamierzyliśmy. Ograniczymy się przeto rzucając na ten obraz tylko tyle światła, ile go potrzeba do uwydatnienia owoczesnej chwili i do nakreślenia na niej postaci Mieczysława Romanowskiego.

Żywsze życie literackie obudziło się we Lwowie dopiero w roku 1840, w chwili powstania *Dziennika mód paryskich*. Poprzednie usiłowania datują się wprawdzie jeszcze od roku 1816, nie były jednak trwałe i z wyjątkiem pism zbiorowych, jak *Haliczanina*, *Ziewonii* i *Prac literackich* J. D. Borkowskiego, tudzież czasopisma *Biblioteki Ossolińskich*, nietylko w dziejach literatury perjodycznej nie wywalczyły sobie żadnego stanowiska, ale nawet w prowincji naszej, w Galicji, nie umiały wywrzeć większego wpływu, ani zjednać sobie obszerniejszego koła zwolenników. Przyczyną tego zjawiska był niepomyślny stan stosunków naszych w ogóle, a literackich w szczególności. Co się tyczy tych ostatnich, dość przypomnieć, że prócz J. N. Kamińskiego i W. Chłędowskiego, a następnie obu braci Borkowskich i Augusta Bielowskiego, nie miał wtedy Lwów wybitniejszych postaci literackich, tudzież że inteligencję kraju mało zajmowały sprawy piśmiennictwa, w innych ziemiach polskich tak silnie rozbudzone, na co nawet sam Walenty Chłędowski w *Pszczole polskiej* gorzko się uskarża. Lecz największe przeszkody rozwojowi literatury stawiały u nas trudności samego wydawnictwa. Autor rozprawy p. n. *Bibljografja polska XIX stulecia*, umieszczonej w trzecim tomie czasopisma *Biblioteki Warszawskiej* z roku 1862, podaje pod tym względem kilka szczegółów bardzo ciekawych. Trudności te, zmniejszające się nieco z czasem, były jednak jeszcze w roku 1840 tak wielkie, że młodzi literaci stolicy galicyjskiej, zakładając czasopismo, musieli pożyczyć sobie godła u firmy krawieckiej Tomasza Kulczyckiego, ażeby myśl powziętą w czyn zamienić. Powołany tym sposobem do życia *Dziennik mód paryskich*, choć z niepozornym tytułem, był na owe czasy wcale dobrem pismem literackiem. Pisywali doń: August Bielowski, wówczas poeta i to niepośledni, wydawca *Ziewonii*, tłumacz *Wyprawy Igora na Połowców*, autor *Dumek* i *Pieśni o Henryku pobożnym*; Dominik Magnuszewski, hr. Józef i Leszek Borkowscy, Karol Szajnocha, Kornel Ujejski, Józef Dzierzkowski, Zygmunt Kaczkowski. Poezja i powieść szły górą przed innemi pracami, i nie dziw, bo właśnie na tych polach skupiły się tutaj główniejsze talenta.

Rok 1848 położył koniec temu w rzeczy dość ożywionemu, i jak na owe czasy i stosunki dość śmiałemu ruchowi piśmienniczemu. Ilekroć sprawy publiczne sterczą u nas na pierwszym planie, wpływają zawsze mniej lub więcej niekorzystnie na rozwój literatury. Wówczas cała uwaga i cała wytężona praca skupiają się około tych spraw, i nietylko czytająca publiczność od literatury zwraca się ku tym zjawiskom bieżącej chwili, wpływając na nie, lub też tylko bacznie ich śladząc, ale i pisarze, poeci czy uczeni, porywani bywają mimo woli prądem silniejszym od siebie. Na miejscu pism literackich powstają wtedy pisma polityczne. Inter arma silent Musae.

Gdy się zakończyły dni gorączkowych, a jednak tyle obiecujących usiłowań, inaugurowanych wypadkami wspomnianego dopiero roku, wówczas po krótkiej chwili ciszy, budzić się u nas poczęło na polu umysłowem żywsze niż kiedykolwiek życie. Zdawało się, jakoby wiosenne tchnienia owego pamiętnego roku ze sfery niedokonanych czynów przeniosły się w sferę słowa, na to, ażeby wlać w nie ów ożywczy element, który nakształt iskry elektrycznej przebiega umysły i serca, i wstrząsa organizmem żywym społeczeństwa. Duch narodu, zepchnięty z areny publicznej, skupił teraz i wytężył swe siły na swobodniejszem polu piśmiennictwa.

Ogniskiem tej rozbudzonej pracy ducha narodowego stał się *Dziennik literacki*. Wychodzić począł w roku 1852 i pierwszym jego redaktorem był Karol Szajnocha. Pisarz ten znany był już wówczas dobrze czytającej publiczności, nietylko z *Dziennika mód paryskich*, gdzie występował w powieści, lecz także z utworów dramatycznych, wprowadzonych na scenę lwowską, jak *Stasio*, *Panicz i Dziewczyna*, *Maryna Mniszchówna*, *Jerzy Lubomirski*. W chwili objęcia redakcji *Dziennika literackiego*, Karol Szajnocha zyskał już wszelako rozgłos także na innem polu: *Bolesław Chrobry* i *Pierwsze odrodzenie się Polski* ukazały w poecie historyka niepospolitych zdolności. Kierownictwo ruchu piśmienniczego złożone więc było w ręce pisarza, którego imię w kraju naszym należało do najgłośniejszych i najbardziej zasłużonych. Obok Szajnochy spotykamy między najpierwszymi współpracownikami nowego czasopisma: Augusta Bielowskiego, Józefa Dzierzkowskiego, Stanisława Pilata, Stanisława Przyłęckiego, Jana Wagilewicza, Felicyana Łobeskiego, Wiktora hr. Baworowskiego, Józ. Supińskiego i Hen. Schmitta. Był więc i zastęp sił pomocniczych niepośledni. Mimo to jednak pierwsze kroki *Dziennika literackiego* nie odznaczały się tą potęgą, która zniewala masy i podbija dla siebie czytelników. Widoczne były trudności i braki. Nawet zewnętrzną formą i obfitością, tudzież doborem artykułów nie odznaczało się młodziuchne pismo. Oto jeden przykład. (C. d. n.)

Listy z Krakowa.

Kraków d. 7. grudnia.

„Opera polska ze Lwowa w Krakowie!“ oto słowa wypisane wielkiemi literami na afiszach, wzbudzające wielki, nieopisany ruch w Krakowie, w mieście, prasie, teatrze i hotelach. Teatr przepełniony, ile razy opera ogłoszona, parę godzin już przed przed-

stawieniem tłok, gwar i zamęt w zabudowaniu teatralnem; to nic dziwnego, że niejeden chce mieć dobre i wygodne miejsce, lecz taki ruch i tłok nie trwa tylko w teatrze, ale i w hotelu Krakowskim od rana do wieczora, gdzie bilety sprzedają. Jakże to pięknie świadczy o naszej publiczności, o jej zamiłowaniu dotąd nam nieznanem do muzyki! Z zazdrością spogląda nasz dyrektor na waszego, z zazdrością przypatruje się przepełnionym lożom, fotelom i galerji nawet, z miną obojętną niby, lecz nie zupełnie, a każdego, ktoby się chciał o prawdzie słów naszych przekonać, odsełamy do ostatniego numeru *Djabła*. Lecz to zamiłowanie do muzyki jest powodem, że każdy chowa pieniądze na operę, a o naszym teatrze ani myśli, w silnem przekonaniu, że ten przecie nie odjedzie, lecz kto to wie? może do was z rewizytą? formy światowe tak by przynajmniej kazały.

Musimy wam jednak wspomnieć o „Mieczysławie“ p. Belcikowskiego, wspomnieć tylko tyle, że go parę razy powtarzano, że pierwsze przedstawienie obudziło kompletny entuzjazm, że wszystkie miejsca były przepełnione, co zagroziło zniszczeniem staremu naszemu gmachowi. Według nas zawdzięczamy to p. Ładnowskiemu, który nietylko rolę swą, lecz nawet całą sztukę, genjalną grą swoją podniósł; po drugie zawdzięczamy to sławie dramatu, wynagrodzonego na konkursie krakowskim. Lecz spytacie się zapewne, jak grali nasi artyści? Na to śmiało wam odpowiedzieć możemy, że oprócz pani Kwiatyńskiej Hoffman, p. Wojdałowicza i Podwyszyńskiego nikt się nie popisał, nikt nawet roli swej dobrze nie zrozumiał, czego jednak za złe artystom brać nie można, zważywszy, że mieli role, które im zupełnie nie konweniowały.

Dopierośmy się zdziwili, wyczytawszy w *Czasie* w recenzji z „Mieczysława“, że kilku artystów, których *Czas* wymienia, zwracało na siebie uwagę. Może to *Czas* robi dla zachęty? i w takim razie nie możemy się zgodzić, by rzeczy na naganę zasługujące, wypadało chwalić. Wymienieni przez *Czas* aktorowie, albo mieli tak szczupłą rolę, że zwracać uwagi na siebie nie mogli, lub z pewnością nie zwracali. Dziwnie się u nas młodzież starzeje, do tego stopnia, że taki 25 letni młodzieniaszek, jak *Czas* nie dowidzi, niedosłyszy, i Bóg wie, co tam jeszcze więcej. Nie mamy w Krakowie uczciwej krytyki teatralnej, tak potrzebnej, zważywszy, że scena nasza składa się z artystów młodych, więcej otwartego wytknięcia błędów, niż pochwał potrzebujących, i z pewnością tego oczekujących. Jedne *Szkice* w doskonałych swoich recenzjach teatralnych wypowiadają prawdę otwarcie, chwalą z umiarkowaniem i uczciwie, ganią z prawdziwą szczerością, szkoda tylko, że tak mało temu miejsca poświęcają.

Przed parą dniami grano po raz pierwszy komedję p. Sardou „Nerwowi,“ która się zupełnie udała, w nieustanny śmiech wprowadzając słuchaczy. „Nerwowi“ jest to doskonała fraszka, pochodząca z młodszych lat utalentowanego komedjopisarza, nie mająca żadnej głębszej myśli, żadnej interesującej intrygi, lecz zabawna, przepełniona dowcipnemi frazesami, z wielkim napisana humorem, życiem i prawdą. I tu znów powtórzyć musimy, że komedja najlepiej do naszej sceny się kwalifikuje; bywa przedstawianą zwykle bez rażących usterek czy to w grze artystów, czy w dekoracjach i akcesorjach, niezbędnych przy takich jak „Mieczysław“ przedstawieniach, a na których nam zupełnie zbywa. W „Nerwowych“ grali wszyscy dobrze, niejedni znakomicie, jak p. Wojdałowicz i Podwyszyński, panna Urbanowicz, pp. Roman i Sobiesław. Jednę tylko rzecz możnaby ich grze zarzucić, tj. przesadę w ruchach i słowach, na czem komizm zyskał, lecz zdaje nam się, utwór autora stracił.

Dawno już wam nic nie napisaliśmy o naszej zawsze kwitnącej wystawie Sztuk pięknych. Nim jednak przystąpimy do opisania kilku nowych obrazów, musimy was poprosić, byście nie wierzyli słowom umieszczonym w kronice krakowskiej w *Ruchu literackim*. *Ruch* pisze o wystawie naszej i porównuje portrety p. Valant z portretem p. Abramowicza, twierdząc, że to porównanie na korzyść ostatniego wyjść musi, i zarzuca, że źle zrobił p. Valant, porzucając martwą naturę, aby oddać się malowaniu pięknych kobiet. Temu śmiało możemy się sprzeciwić, twierdząc przeciwnie i uważając, że ostatni portret p. Abramowicza zupełnie się nie udał i na wzmiankę nawet nie zasługuje. Nie chcemy tutaj twierdzić, że p. Valant jest znakomitym portrecistą, Rodakowskim lub Delarochém, lecz występując w jego obronie, przyznać musimy, że portrety jego, jakkolwiek nie posiadają wyższych zalet, są przyjemne dla oka, malowane z wdziękiem, i odznaczające się podobieństwem. Najlepszym tego dowodem, że na wystawie oglądamy coraz to nowe utwory p. Valant, a to najlepiej świadczy, że ci, których maluje, są zadowoleni, i oto teraz mamy aż 4 portrety kobiet do pół figury i dwa portrety mężczyzn. Piszemy tych kilka słów, aby was z błędu wyprowadzić i abyście nie mieli wysokiego wyobrażenia o portrecie p. Abramowicza, a słuszne zato o portretach p. Valant. Nieraz zaś spotykamy tę nieżyczliwość dla p. V. czyżby dla tego, że to Francuz? dziwnie pojmowany patrjotyzm! Z pomiędzy nowych utworów naszych malarzów, zwracają uwagę niektóre obrazy rodzajowe. P. Łaszczyński nadesłał obraz rodzajowy, na historycznem tle osnuty, który z powodu dobrego pomysłu i znakomitego wykonania, na krótki opis i tutaj nawet zasługuje. W przepysznym salonie, jakiś młody szlachcic goli kozaka, drugi trzyma drzwi, trzeci się przypatruje, czwarty z piórem w ręku czeka. Nie dla każdego temat ten zrozumiały, lecz dla Polaka, który do tego czytał Pamiętniki Soplicy, z pewnością jasny.

W czasach konfederacji Barskiej, gdy kraj był napełniony obcego mocarstwa żołnierstwem, trzeba się było ukrywać, szczególnie z korespondencją i dlatego też chcąc przesłać hetmanowi Ogińskiemu depeszę, pisano ją na ogolonej głowie kozaka, czekano aż włosy odrosły, i wtedy dopiero go wysełano bez narażenia na niebezpieczeństwo. Tę ciekawą chwilę obrał sobie artysta i oddał ją genialnie (?).

Obraz ten długo zatrzymuje widza, znakomicie wykończone akcesorja, dywan, meble, obicie, zatrzymują oko, które chce się już przypatrzyć fizjognomjom tych kilku ludzi, szlachciców polskich, w całym tego słowa znaczeniu, z minami spokojnemi, wesołemi i typowemi. Drugi obrazek, który zwraca uwagę, jest pędzla młodego utalentowanego artysty Ajdukiewicza, przebywającego obecnie w Monachjum, obrazek tosamo rodzajowy „przy żniwie.“ Jakiś właściciel ziemski przyjechawszy konno z synkiem na kucyku do żniwa, rozmawia ze stojącym i trzymającym konia ekonomem. W dali widać żniwo, fury czterokonne, wyładowane zbożem.

Obrazek ten miłe czyni wrażenie, odznacza się pięknym i żywym kolorytem, naturalnością, szkoda tylko, że autor przedstawił nam tu już rzecz, tylokrotnie powtarzaną. Co do nas, tobyśmy powiedzieli, że z większą przyjemnością przypatrujemy się rzeczom na drugim planie w tym obrazku będącym, temu żniwu z nadzwyczajną naturalnością w dali naszkicowanemu, lub tej wiosce, pełnej poezji i prawdziwie polskiej. Oprócz tych dwóch obrazów, mamy jeszcze kilka innych, a wszystkie prawie rodzajowe, i to nam dziś nasuwa spostrzeżenie, że malarze, monachijscy szczególnie, lubują się w rodzajowych obrazach; może nie czują się dość silnymi na obraz czy to historyczny, mitologiczny lub i religijny, to w takim razie niech próbują przynajmniej swego talentu na takich obrazach rodzajowych i charakterystycznych, jak p. Lipińskiego, a płótna ich z pewnością wyższą będą miały wartość i bardziej się będą podobały. W Krakowie nie widzimy tego gustu rodzajowego; znać, że wielkie pomysły Matejki do- czegoś więcej niż kurników i wioseczek ich zachęcają. Oprócz tych utworów młodych malarzów, mamy bardzo piękną nową akwarelę Kossaka, osnutą na ustępie z „przygód Winnickiego,“ gdy młody Winnicki najeżdża na ojca, nie zdjąwszy czapki przed figurą; mamy obrazek to samo rodzajowy Jaroszyńskiego i znakomity biust z marmuru białego, hr. Arturowej Potockiej, dłuta Gadomskiego, biust, który śmiało do najlepszych prac artysty policzyć można.

Może nam za złe weźmiecie, że tak dużo piszemy o sztuce, o teatrze i obrazach, lecz cóż z Krakowa można innego napisać, takiego, coby żywszy interes obudzało?... przecież nie będziemy opisywać wrażeń, jakie wywiera sprawa Hercogowińska, lub jakieś baśnie o armji rossyjskiej, 30.000nej na granicy, lub o kłótniach, krzykach i sporach Rady miejskiej, która bez tego obejść się nie może, ani o dążnościach i tendencjach *Czasu*, bo ich nie ma, ani o ostatnim nr. *Przeglądu polskiego* z opisem obozu Don Carlosa, bo go nie czytałem jeszcze, ani nawet, że śnieg i brzydko, że Wisła stoi etc. etc. bo to jeźli nas mało obchodzi, cóż dopiero was, daleko od nas, i zupełnie będziemy zadowoleni, jeźli i to przeczytać tymczasem zechcecie, tymczasem, bo karnawał się zbliża, a z nim życie, ruch, nowiny i plotki, bale, odczyty i koncerta. *W. L.*

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*„Un mariage dans le monde“ par Octave Feuelilt. „Revue de deux mondes“ Paris. 1875.*)

(*Dokończenie.*)

Co musiało wyniknąć z takiego pożycia, wynikło. Marja de Rias wynajdowała sobie sama zabawy i rozrywki. I mąż i żona czuli się nieszczęśliwemi i codzień bardziej obcemi stawali się dla siebie. Marja de Rias przebyła jednę zimę całą w Deauville, dokąd mąż jej zrzadka tylko zaglądał.

Pani de Rias była na wieczorku, który się przeciągnął aż do rana, a odbył się u pani de Moges w Villers, na normandzkiem wybrzeżu. Lionel, który przybył właśnie z Paryża do Deauville i nie zastał żony w domu, wyjechał na przeciwko niej, spotkał ją wracającą w wesołej kalwakadzie z panią de Moges, i razem z nią powrócił do Deauville. Milcząc wstępowali oboje po wschodach. Gdy pani de Rias, otworzywszy drzwi do swego pokoju, zabierała się je zamknąć, Lionel wyrzekłszy: za pozwoleniem! wszedł z nią razem i zamknął drzwi na klucz. Młoda kobieta stała z wyrazem wahania się i niepokoju przed nim, zarzuciwszy na rękę długą powłokę swej amazonki. Lionel zawołał z gniewnem spojrzeniem:

— Stanowczo tedy przedsięwzięłaś pani prowadzić żywot zalotnicy?

Pani de Rias stała się woskowo bladą. Rzekłbyś, że się chwieje, upuściła z ręki powłokę sukni i oparła się na stole, za który pochwyciła. Skupiła jednak siły i odrzekła, patrząc w oczy mężowi:

— Sądziłam, że jedynym środkiem podobania się wam, jest stać się podobną do tych kobiet?

— Przekonywasz się pani teraz, że tak nie jest,—odparł Lionel szorstko. Ach,—ciągnął dalej z rosnącem wzburzeniem — skarżycie się, żeście opuszczone, że dla mężów swoich jesteście kochankami dnia jednego... Tak, prawda, — nie jesteście niczem innem! A wiecież dla czego? Oto ponieważ jesteście podobne do owych kobiet, gdy my właśnie w żonach naszych zupełnego z tamtemi przeciwieństwa szukamy, — ponieważ, co nam w tamtych się podoba, w żonach naszych nas przeraża, — ponieważ żądamy od was, ażebyście się od nich różniły, a nie siliły się stać im podobnemi, — ażebyście nas przywiodły do zapomnienia o tamtych, nie zaś nam je przypominały!... ponieważ wreszcie nie umiecie nawet dojść do zupełnego z niemi podobieństwa... Jesteście tylko kopjami, niezręcznemi kopjami tamtych! Naśladujecie ich strój, wzięcie się, ton, mowę... Macie ich warjacko-dziecięcą minę, ich niedorzeczną rozrzutność, ich nieuctwo!... Podzielacie z niemi brak uszanowania dla obowiązku i obawę przed dziećmi!... Ale to nie wystarcza... W tych nędznych zapasach przegrywacie zawsze... Tracicie swój własny urok — a im właściwego nie zyskujecie. Przestajecie być kobietami godnemi szacunku — a nie stajecie

się bynajmniej kurtyzankami! Jesteście małżonkami bez cnoty i kochankami bez uroczych przywar!... Jesteście niczem!

Zerwanie pomiędzy mężem a żoną nastąpiło.

Pani de Lauris, córka matki chrzestnej p. de Rias usiłuje ich ze sobą pogodzić. W tym celu pisze do p. de Rias co następuje:

Na długi czas, przed otrzymaniem pańskich poufnych zwierzeń, małżeństwo wasze było dla mnie przedmiotem bardzo poważnych rozmyślań. Godny pożałowania zwrot, jaki obecnie nastąpił, zadziwił mnie i zmartwił w najwyższym stopniu. Znałam żonę pańską, jak siebie samą, i sądziłam, że ją znam dobrze. Ażeby związek dwojga tak szczęśliwie uposażonych i tak wyraźnie do szczęścia przeznaczonych istot, mógł kiedykolwiek w stosunek niezgody, rozterki, słowem w nieszczęśliwe małżeństwo się zamienić, — to mi się w głowie pomieścić nie chciało. Gdyby małżeństwo, nawet przy tak rzadkiem pokrewieństwie moralnem, do nieszczęścia przywodzić miało, trzebaby się go chyba zupełnie wyrzec. Taką myśl zaledwie zdołałam przypuścić. Na szczęście po uporczywem rozmyślaniu odkryłam, że zamiast winić małżeństwo, o wiele słuszniejszem będzie przyczyny takich wypadków szukać w małżonkach, a szczególniej, szczerze to wyznaję, w mężu. Wiem ja, że kobiety otrzymują we Francji nader lekkie wychowanie. Wychowanie to jest powierzchowne, sztuczne, wyłącznie ku celom towarzyskim skierowane. Bardzo źle przygotowuje ono nasze dziewice do poważnego zawodu kobiety zamężnej. Wszystko to przyznaję, — pomimo tego jednak stawiam za ogólną zasadę, że pomiędzy wychodzącemi za mąż pannami, nie ma ani jednej, któraby od swego przyszłego męża nie była moralnie wyższą i bardziej zdolną do cnót domowych. Zaraz panu powiem, dlaczego. Oto ponieważ kobiety w ogóle w daleko wyższym niż wy stopniu posiadają główną cnotę małżeńskiego pożycia: ducha poświęcenia. Trudno im jednak odrzec się wszystkiego, skoro mąż z niczego zrezygnować nie chce. A właśnie takiego absolutnego zaparcia się każdy mąż wymaga przedewszystkiem od żony. Pan uważałeś się za wzorowego małżonka i byłeś nim istotnie pod wieloma względami; w jednym jednakże punkcie zachowałeś wspólność z wielką gromadą swoich współbraci, mianowicie co do nadzwyczaj kategorycznego poglądu na obowiąski, spływające z małżeństwa na żonę twoją, a nader niewyraźnego pojęcia o wypływających dla ciebie z tegoż samego źródła. Małżeństwo nie jest bynajmniej monologiem, grają w niem dwie osoby. Pan wbiłeś sobie wybornie w pamięć jedną rolę — ale nie swoją własną. Zanadto jesteś uczciwym, ażeby nie przyznać, że osobiste twoje widoki przy zawarciu małżeństwa były wprost następujące: do zwykłych przyjemności swego życia przyłączyć jeszcze miły dodatek w osobie uczciwej i godnej miłości żony, aby ozdabiała dom twój, nie dała wygasnąć imieniu i nie przynosząc ci zbytniego ambarasu, była przyczynkiem do twoich wygódek i poważania u ludzi. Uważałeś za rzecz najprostszą; jak cała płeć twoja, znalezienie podobnej żony w Paryżu, na prowincji, w Chinach, lub gdziekolwiek bądź na świecie — takiej cudownej żony, któraby ci wszystkie te ofiary przyniosła a żadnej od ciebie nie wymagała. Tymczasem nie znalazłeś jej i nikt jej nie znajdzie; ten rzadki bowiem ptak o którym wszyscy marzycie — rozkochana w życiu domowem żona, warunkuje się o wiele jeszcze rzadszym ptakiem, mężem rozkochanym w życiu domowem.

Jakże to wygląda taki mąż? Nie jest to bynajmniej człowiek, haftujący u stóp swojej żony, dysponujący objad, rozpisujący zaproszenia, czyszczący lampy i nastawiający zegary. Mężem kochającym życie domowe my nazywamy tego, z którym czytamy jedną książkę, odwidzamy toż samo widowisko, admirujemy wspólnie jedno malowidło, jeden i ten sam krajobraz, który nam duchowe i umysłowe życie obok swego lub w swojem urządza, który nas, jeżeli już nie do wszystkich swoich interesów, to przynajmniej do wszystkich chwil odpoczynku przypuszcza, i, co ztąd wynika, nie ma żadnego upodobania, żadnej przyjemności, żadnego interesu sercowego lub umysłowego, z którychby nam cząstki nie chciał lub nie mógł udzielić; — człowieka, słowem, który całą swoją istotę, bez samolubnej rezerwy, małżeńskiemu pożyciu oddaje. Bądź pan takim mężem a przywiążesz żonę do swego ogniska—i sam się przywiążesz do niego. Ognisko twoje nie będzie tylko w twoim domu; będziesz je nosił ze sobą jak ołtarz domowy. Znajdzie się ono wszędzie z wami razem; istnieć bowiem będzie w sercach was obojga, i wiecznie w niem myśli wasze, wrażenia, zapał, wiara i miłość z głęboką czułością łączyć się będą.

Mój Boże, niewątpliwie małżeństwo jest przedsięwzięciem obiecującem nieocenione korzyści, ale jest także przekazem obowiązków. Czyś pan czytał o tem? Obawiam się, że nie, inaczej bowiem już z tego samego byś pojął, że większa część wychowania żony cięży na sumieniu męża, że jego jest rzeczą młode serce, młody umysł, — żądne jedynie tylko podobania się jemu — ukształtować wedle swoich pojęć i pragnień, podnieść do swoich uczuć i myśli. Pojąłbyś, że mądrą i zachwycającą jest zarazem rzeczą, do węzłów łączących męża z żoną, przydać jeszcze te, które ucznia do swego nauczyciela, wychowawcy, przewodnika i przyjaciela wiążą.

Zgaduję pańską wymówkę. To młode serce i ten młody duch usuwały się z pod twojej opieki; stanęły ci na drodze powierzchowne wykształcenie, żądza zabaw, próżność, kokieterja, słowem niepoprawna lekkomyślność wszystkich kobiet. Mój Panie, ja nie wierzę w niepoprawną lekkomyślność kobiet, ani pan także, codziennie bowiem widzisz, jak ta niepoprawna lekkomyślność pod naciskiem namiętności, współczucia, wiary, nieszczęścia, w wysokie poświęcenie i surowe zaparcie samej siebie się zmienia. A jakżeż nie miałaby ustąpić przed łagodnym gwałtem pierwszej miłości, mającej taką władzę nad sercem kobiety, iż przez ciąg całego jej życia w hańbie i zgryzocie, w chwilach pomsty i skruchy w niej się odzywa!

O nie,— chciej się przyznać, żeś nawet nie próbował takiego wpływu. Myślałeś, że dziecko, które pojąłeś za żonę, w przeciągu jednego dnia samą tylko mocą sakramentu w doskonałą kobietę się zamieni. Tymczasem cud taki, mój panie, ty sam tylko mogłeś wywołać.

Dochodzę, dzięki Bogu, do końca mego kazania. Przebacz mi je pan. Jeżeli zechcesz pomyśleć nad tym tekstem, zdołasz z łatwością przedmiot ten obrobiony z gruba memi słabemi rękoma, dopełnić i wykończyć jak należy."

Pośrednictwo p. de Lauris przyniosło szczęśliwe skutki. Państwo de Rias uczą się rozumieć i kochać nawzajem.

Oto treść, pomysł i morał romansu, który stare nauki w ostrej, ale dosadnej i uderzającej dowcipem formie — a co najważniejsza, w szlachetnym celu — podaje. Piękny to czyn na drodze moralnego odrodzenia Francji.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Czytania religijno-moralne dla młodych osób przez Feliksę Eger. Warszawa — 1875.

„Dziś jako w czasach walki pojęć i wyobrażeń (pisze autorka we wstępie) więcej niż kiedykolwiek potrzeba kobiecie tarczy przeciwko złym prądom, siły i dźwigni moralnej do utrzymania się na stanowisku niewiasty dzielnej, kobiety ewangelicznej, dobrej córki, żony i matki. Siłę tę czerpać ona musi w religji, która jej drogę tę wskazuje, uświęconą wzorem i nauką Chrystusa." Autorka z piękną i szlachetną myślą przystąpiła do tej pracy i wykonała ją odpowiednio swemu założeniu. W pięćdziesięciu jeden rozdziałach rozwija przedmiot idąc za słowami Zbawiciela. Język przytem czysty i styl jasny dodają nie mało wartości książce, która w szczupłych ramach każdej kobiecie polskiej daje zdrowe rady na drogę życia, dla zapewnienia szczęścia w przyszłej pielgrzymce wśród burzy światowej. Razem z *Biblioteką Warszawską* polecamy to dziełko matkom i kierowniczkom młodego pokolenia.

— Teorja stylu polskiego, napisana przez Józefę Kamocką, b. nauczycielkę gimnazjum żeńskiego i wyższych zakładów naukowych w Warszawie. Warszawa — 1876.

W sposób bardzo przystępny i łatwy wykłada autorka teorję stylu polskiego i popiera każdą zasadę przykładem z dzieł najpierwszych naszych pisarzy. Wyjątki są bardzo stosowne tak do nauczenia się ich na pamięć, jak i do ćwiczenia stylu. Autorka wykazuje nam dalej całe piękno naszego języka i stara się wytknąć błędy popełniane przeciwko językowi naszemu w potocznej mowie. Mimo niektórych usterków, nieodłącznych od każdej pracy ludzkiej, dziełko panny Kamockiej zasługuje, aby je polecić wszystkim rodzinom, którym poznanie zalet i wad stylowych ojczystej mowy leży na sercu.

— Podarek dla grzecznych i pilnych dzieci. Książeczka abecadłowa przez Teofila Nowosielskiego ułożona i zawierająca początki nauki czytania, oraz światek dziecięcy w powiastkach, bajeczkach i piosenkach. Z 60 drzeworytami w tekscie. Warszawa— 1876.

Autor od abecadła zaczynając, daje w piosenkach wyobrażenie o samogłoskach, dalej początki czytania — poczem stara się rozwinąć pojęcia młodociane, przedstawiając świat, ludzi, zwierzęta, ptaki i rośliny. Powiastki drobne, zdania, piosenki i wierszyki dążą myślą moralną do jednego celu. Pożyteczną tę książkę, nader ozdobnie wydaną, zamykają wspomnienia o zasłużonych mężach, jak Kopernik, Brodziński i Jachowicz wraz z ich wizerunkami. Autor, znany od dawna pisarz, współpracownik dziełek Stanisława Jachowicza dla dzieci, wzbogaca prawie rok rocznie tę ubogą gałąź literatury naszej.

Nowości

Bałucki, Biały murzyn, powieść. Lwów 1876, zł. 2·60.

Boniecki M, Książęta Szlązcy z domu Piastów. Przyczynek do historji Rodzin panujących w Polsce, zebrany i ułożony przeważnie z niemieckich źródeł. Warszawa 1875, zł. 6·70.

Co Kasia robiła, powieść Zuzanny Coolidge autorki „Noworocznego jarmarku". Warszawa 1876, zł. 1·50.

Grajnert J. Obrazki historyczne z życia Polaków i Polek dla młodego pokolenia z 8 rycinami. Kraków 1875, 80 cent.

Hofman Fr., Przemytnik, przełożył Bolesław Dunin z 4 rycinami Brody 1874, 50 ct.

Tegoż, Sierota z 4 rycinami. Brody 1874, 50 ct.

Kalendarz gospodarski dla kobiet na rok 1876, ułożony staraniem redakcji Przeglądu Tygodniowego, zł. 1·76.

Kiedrej Hr. Z., Wspomnienia z wygnania 1865 — 1874. Poznań 1875, zł. 1·20.

Kilka rad i przestróg dla małych dzieci ze świata zwierzęcego, 80 ct.

Kraszewski J. I., Kawał literata. Wizerunki społeczne z końca XVIII. wieku Warszawa 1876, zł. 3.

Dzieła francuskie.

Oeuvres choisies de J. Słowacki—Beniowski, Le tombeau d'Agamemnon — Mon testament, Traduction de Jules Mien. Cracovie 1875, 40 ct.

Fremy A., La guerre future. Paris 1875, zł. 2·10.

Houssaye, les Dianes et les Venus. Paris 1875, zł. 2·10.

Clémence Robert, La Jaquerie. Paris 1875, 75 ct.

Millet-Robinet, Maison rustique des dames, 2 vols. Paris. Tome I. orné de 110 gravures II. 141 gravures zł 6·65.

Dzieła niemieckie.

Noé H., Winter und Sommer in Tyrol. Bilder mit Staffage. Wien 1876, fl. 4·20.

Oertzen G. v. Stimmen des Lebens. Neue Gedichte. Wien 1876, fl. 3.

Pfeil H., Tonkünstler-Merkbüchlein. Kleines Lexicon für Musiker und Musikfreunde. Leipzig 1875, 90 kr.

Wirth M., Oesterreichs Wiedergeburt aus den Nachwehen der Krisis. Wien 1875, fl. 5.

Marchet Dr. G., Zur Organisation des Landwirthschaftlichen Credites in Oesterreich Wien 1876, fl. 1·20.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Dnia 2. b. m. rozpoczął się szereg wykładów popularnych dla kobiet urządzanych rokrocznie przez lwowskie Towarzystwo pedagogiczne. Wykłady te, w których biorą udział najwybitniejsi ludzie nauki naszego miasta, cieszą się jak zwykle tak i tego roku poważną liczbą słuchaczek, a nawet i słuchaczów. Dotychczas odbyły się aż trzy wykłady, a o jednym z nich, p. Grudzińskiego, znajdą czytelnicy wzmiankę w tygodniowej „Pogadance.“ Oprócz pana Grudzińskiego, który mówił „O poezji a teraźniejszem społeczeństwie“ wykładali pp. dr. Żuliński „O fizjologji i hygienie zmysłów,“ dr. Żegota Krówczyński „O pięknej i zdrowej płci“ i dr. Zygmunt Rościszewski „O instynkcie zwierząt.“ Wszystkie te trzy wykłady dały nam poznać w prelegentach ludzi prawdziwej, sumiennej nauki, sprawiły przyjemność, i przyniosły korzyść umysłową słuchaczkom. Szczególniej podnieść nam należy wykład dr. Krówczyńskiego, w którym szanowny prelegent przestrzegał płeć piękną przed używaniem mineralnych kosmetyków zachwalanych inseratami przez przemysłowców, jak np. E a u d' O r i z e, wodą panieńską i innemi preparatami, w których skład wchodzą siarczany antymonu, ołowiu, cynku itd. Wykład dr. Rościszewskiego „O instynkcie źwierząt“ obfity w zajmujące przykłady, przedstawił nam w prelegencie sumiennego badacza przyrody, umiejącego zachować *juste milieu* i nie dającego się porwać w wir fantastycznych i fanatycznych mrzonek, w który tak często teraźniejsi naturaliści popadają. Z obowiązku publicystycznego i dla wygody naszych czytelniczek, z których zapewne nie jedna na wykłady popularne uczęszcza, notujemy, że przed świętami Bożego Narodzenia odbędą się jeszcze następujące odczyty: 11go grudnia w sobotę od 4 do 5 godz. dr. Tadeusz Żuliński „Fizologja i hygiena zmysłów“. 13go w poniedziałek od 5—6 dr. Feliks Strzelecki „O fotoelektrycznym mikroskopie i megaskopie,“ będzie sala zaciemniona. 16go grudnia we czwartek od 4—5 dr. Teofil Ciesielski „Z życia pszczół.“ 18go grudnia w sobotę od 4—5 dr. T. Żuliński jak wyżej. 20go grudnia w poniedziałek od 5—6 godz. dr. T. Ciesielski jak wyżej. 23go grudnia we czwartek od 4 do 5 godz. dr. Zygmunt Rościszewski „O podziale pracy w świecie zwierzęcym.“

— Ks. Ignacy Polkowski z Lubostronia pod Łabiszynem, napisał ważne studjum numizmatyczne, które przed Nowym rokiem ma wyjść w Gnieźnie jednocześnie po polsku i po francusku pt. „Wykopalisko średniowiecznych monet polskich w Głębokiem.“ Treścią tej pracy są opisy i wizerunki monet z napisami hebrejskiemi, bitych w Polsce w wieku XII. Zabytki te rzucają światło na ówczesne u nas stanowisko Żydów.

— Wystawa obrazów we wiedeńskim „Kunstvereinie“ powiodła się w tym roku bardzo dobrze. W jednym miesiącu październiku sprzedano 32 obrazy za 25.000 guldenów. Kupców przyjechało najwięcej z Ameryki, którzy poszukują dzieł sztuki dla wystawy w Filadelfji.

— Nowy dramat W. Sardou „Ferréol“ cieszy się w Paryżu coraz większem powodzeniem. — Czy możemy się spodziewać, że go i we Lwowie zobaczymy?

— Ulubiony kompozytor francuski Ch. Lecoq, autor operetki „Angot“ wystąpił z nową operetką „Le Pompon,“ która jednak w paryskim teatrze „Folies dramatiques“ najzupełniejsze zrobiła fiasco.

Konkurs.

— Jakkolwiek dwa pierwsze nasze konkursy na teatrzyki dla dzieci odniosły tylko w jednej połowie pożądany skutek, a mianowicie wydostając nowe talenta i przysporzając literaturze dziecinnej prawdziwie cenne rzeczy, a zupełnie prawie nie odniosły skutku w drugiej połowie tj. że uwieńczone na konkursie komedyjki zupełnie prawie nie są rozpowszechnione pomiędzy dziatwą; to jednak już ten rezultat, jaki udało się nam osiągnąć zachęca nas do ogłoszenia trzeciego konkursu, w tej nadziei, że z czasem i publiczność zainteresuje się tą sprawą. Warunki konkursu: Komedyjki dla dziecinnego wieku, przeznaczone do konkursu, powinne oprócz zwykłych wymagań scenicznych mieć na uwadze wzgląd pedagogiczny i tendencję moralną. Nie mogą obejmować więcej nad 2 arkusze druku, i mają być nadesłane najdalej do 30 maja 1876 r. (franko) pod adresem: Księgarnia Polska we Lwowie 12 ul. Kopernika. Poczem w ciągu miesiąca wyrok komisji konkursowej będzie ogłoszony. Pierwsza nagroda za utwór z nadesłanych uznany za najlepszy, wynosi 300 zł. pol. druga 200 zł. pol. Dalsze zalecone przez komisję konkursową do druku będą honorowane po 100 zł. pol. Wszakże na wypadek, gdyby z nadesłanych komisja konkursowa nie uznała żadnej komedyjki godną druku, konkurs będzie na nowo rozpisany. Księgarnia Polska nabywa prawo jednorazowego wydania uwieńczonych na konkursie sztuk, i zobowiązuje się do wydania takowych w ciągu roku, czego gdyby nie dopełniła, traci swoje prawa. Upraszamy pisma polskie o uprzejme powtórzenie niniejszego wezwania. Lwów 10go grudnia 1875 r. Księgarnia Polska.

Podróże i odkrycia.

— Z okolic arktycznych donoszą o nowem odkryciu. Kapitan okrętu „Intrepid“ polujący na wieloryby, który właśnie wrócił do Dundee, odkrył d. 30go sierpnia niedaleko zatoki Izabelli bardzo przestronny, naturalny port, którego dotąd nie było na żadnej mapie. Na lądzie kapitan znalazł bardzo dobrą wodę.

— Holenderskie Tow. geograficzne wysyła na Sumatrę naukową ekspedycję, która zbada tę wyspę, znaną dotąd tylko w pasach nadbrzeżnych. Na czele wyprawy stoi książę Henryk.

— W Jerozolimie zrobiono ciekawe odkrycie archeologiczne. Nieopodal bramy, wiodącej do Damaszku, podczas kopania cysterny, znaleziono na 12 stóp pod powierzchnią ziemi olbrzymi sarkofag z jednego kamienia, stojący na czterech nogach. Archeologowie dotąd nie zbadali z jakiej epoki ten sarkofag pochodzi.

— Góra usuwająca się pod Taxenbach, która z wiosną tego roku częściowo zawaliła tunel Unterstein i gościniec państwowy, znów się usunęła. Podług doniesień z d. 30 z. m. z powodu tego usunięcia się przerwaną została komunikacja na drodze żelaznej arcyks. Gizeli w tem miejscu; podróżni muszą pod Unsterein przesiadać się, zaś ruch ciężarowy zastanowiono zupełnie.

— W pustyni położonej w północno-wschodniej stronie Hunrboldel-County, w Newada, odkryto las skamieniały. Niektóre z drzew kopalnych mają od 15 do 27 stóp obwodu, kiedy tymczasem dziś na tej pustyni rosną zaledwie drobne krzaczki. Okazuje się ztąd, że warunki klimatyczne musiały uledz znacznej zmianie.

Wynalazek.

— Pruska gazeta rolnicza szląska wychodząca we Wrocławiu, w numerze 93 donosi o odbytej próbie nowowynalezionej machiny do wiązania snopów, której wynalazcą i konstruktorem jest p. Józef Przygodzki, inżynier warstatów mechanicznych kolei Karola Ludwika w Krakowie. Wspomniana gazeta pruska oddaje należytą pochwałę niepospolitemu pomysłowi, przyznając, że jedno z najtrudniejszych zagadnień w dziedzinie mechaniki rolniczej tym wynalazkiem zostało pokonane, przyczem podnosi praktyczność i potrzebę machiny p. Przygodzkiego, dającej się do każdej żniwiarki zastosować, i przepowiada jej nareszcie, że stanie w takim stosunku do żniwiarki, jak telegraf do kolei żelaznej. Nowo założona pierwsza niemiecka fabryka żniwiarek p. E. Januschek w Świdnicy, która już w tym pierwszym roku założenia swojego nie mniej od 3.000 żniwiarek sporządzi, nabyła od wynalazcy prawo przywileju na całe państwo niemieckie, a jak się dowiadujemy, p. Przygodzki porobił kroki wielu uzyskania przywileju we Francji, Anglji, Austro-Węgrzech, Rossji i Ameryce. Wiarogodny świadek przytomny tej próbie opowiada nam, że sproszeni przez p. Januschka artis periti w liczbie dwudziestu kilku, powagi na polu techniki, z gorączkową niecierpliwością a może nawet powątpiewaniem oczekiwali w Crojschwitz, majętności p. Januschka, przybycia machiny, poczem przystąpiono zaraz do ścisłego egzaminu a gdy zadowoliła odpowiednie wymagania stawiane jej przez ludzi wiedzy i praktyczności, nie było końca uniesieniom i pochwałom, oddawanym wynalazcy. Jak się dowiadujemy, już w tem miesiącu p. Reczyński we Lwowie będzie miał na swoim składzie na okaz żniwiarkę „Silezia“ z nowym wiązaczem, gdzie pp. rolnicy praktyczność wynalazku osądzić będą mogli.

Gospodarstwo.

— W Stanie Massachusetts posiadającym nader znaczną liczbę fabryk, istnieje jedyna w całych Stanach Zjednoczonych stała komisja obowiązana do czuwania nad położeniem robotników fabrycznych, która corocznie składa sprawozdanie o potrzebach i położeniu klasy roboczej, oraz o sposobach zaradzenia tym potrzebom. Tym sposobem wiele dobrego zdołano już zrobić dla tej warstwy ludności. Według ostatniego sprawozdania, na 400 rodzin, o których położeniu komisja naocznie się przekonała, 11% miały u siebie fortepjany, 34% posiadały maszyny do szycia, 52% miały w mieszkaniach swoich dywany, 66% wydawały przecięciowo rocznie 9 dolarów (45 franków) na kupno książek i dzienników. Średni roczny dochód tych rodzin wynosił 784 dolarów, posiadający cokolwiek wyższe wykształcenie zarabiały 823 dolary (4.115 franków), prości rzemieślnicy i robotnicy wynajmujący się na dni mieli dochodu 687 dolarów. W wielu z tych rodzin dobrobyt ich podnosiły jeszcze o wiele praca i zarobek kobiet i dzieci; na 400 rodzin większa połowa była w możności składania części swego zarobku do kas oszczędności.

Nekrologja.

— † Wirginia Déjazet, znana zaszczytnie artystka, zmarła 2 b. m. w Paryżu w 78 roku życia. Karjerę artystyczną zaczęła w epoce Restauracji i przetrwała lipcową monarchję; liczne artystyczne podróże uczyniły imię jej głośnem w całej Europie.

ROZMAITOŚCI.

— W maju r. 1750 powstały w Paryżu wielkie rozruchy. Niezliczone masy ludu zaległy ulice, podnosząc groźne i rozpaczliwe wrzaski. Na domach i po rogach ulic porozlepiano drukowane plakaty, twierdzące, że król, Ludwik XV, z porady doktorów, dla wzmocnienia zrujnowanych sił swoich, bierze kąpiele z krwi, i że dla sporządzenia ich policja schwytała kilkanaścioro dzieci, które właśnie pod ten czas w tajemniczy sposób gdzieś były zginęły. Dalej następowały najdziwaczniejsze i pełne okropności szczegóły zarżnięcia tych niemowląt. W ogłoszeniach tych faktem było jedynie, że dzieci zginęły, co zaś do Ludwika XV, dowód to był tylko niełaski ludu, że mu tak bez namysłu przypisywano haniebną zbrodnię, do której nie był zdolny, chociaż Ludwik XI, wedle najwiarogodniejszych źródeł rzeczywiście się jej dopuszczał. Rozwścieklony tłum zamordował policyjnego ajenta, oskarżonego przez głos ogólny, że on to kamerdynerowi króla sprzedał krew niewinnych ofiar. Władza królewska jednak zbyt wiele jeszcze wówczas miała potęgi, ażeby

nie zapanować nad podobnym rozruchem. Gwardja przyboczna króla, szwajcarzy i czarni muszkieterowie, uderzyli na tłum z bronią w ręku i wnet go rozproszyli. Wielu zabito, innych pochwycono i w części powsadzano do więzień, w części powywieszano. Parlament, dąsający się wówczas na króla, wielce się oburzył tą kategoryczną sprawiedliwością, i w dniu 25 maja wydał dekret, nakazujący wytoczenie śledztwa przeciwko rozsiewaczom nieniepokojących wieści, które wywołały powstanie ludu, a również i przeciw tym, którzy dzieci zaginione uprowadzili i pozarzynali, jeżeli się tak rzeczywiście stało. Król nie mógł się wykręcić od potwierdzenia tego rozkazu, tembardziej że i w jego interesie było oczyścić się z tak straszliwych a na niczem nieopartych podejrzeń. Tymczasem wzburzenie nie ustawało i przejmowało króla mocną obawą o przyszłość. Podwoił swoje gwardje i załogę Paryża, i rozkazał nawet wypracować plan ufortyfikowania stolicy, głównie ku temu skierowany, aby groźbą paszcz armatnich utrzymywać w rygorze niespokojne przedmieścia St. Antoine i St. Marcel. Wśród tego policja prowadziła gorliwe poszukiwania, — w ten sposób jednak ażeby nic nie znaleźć. Winowajca bowiem dawno jej był znany, ale istniały powody dla których milczała, jak to często jej się zdarzało, gdy najhaniebniejszy nawet zbrodniarz w wysokich sferach się ukrywał. Gdy jednak i król i parlament i gwałt opinji poczęli naciskać, wprędce się wykazało, że owym okropnym zbrodniarzem nie był kto inny, jeno kuzyn króla, jeden z naczelników domu Bourbon Condé, hr. de Charolais. Łotrzyk ten, istny szatan w ludzkiej postaci, miał naówczas około lat 50. Najwyższą roskoszą jego życia było dręczyć i mordować ludzi. Do ludzi niepodejrzywających niczego, wyciągnąć uprzejmie rękę i nagle pochwyciwszy ich z olbrzymią siłą za palce, wyłamywać je jeden za drugim — to było najprzyjemniejszą dlań rozrywką. W dobrach swoich strzelał do ludzi jak do wróbli, i raz w napadzie manji mordowania zasztyletował bez najmniejszej racji pazia swego, a następnie kamerdynera. Wszystkie te zbrodnie uchodziły mu dotąd bezkarnie. Teraz, gdy się pokazało, że on to ośmioro czy dziewięcioro małych dziatek kazał pochwycić i zarżnąć, dla skąpania swego zdenerwowanego cielska we krwi tych niewinniątek, można się było spodziewać, że wreszcie i odrazu za wszystko pokrzywdzona ludzkość otrzyma zadosyćuczynienie. Tymczasem stało się inaczej; pomimo że hr. nie chciał się stawić przed publicznym sądem i że królowi w liście się wyspowiadał, iż od pewnego rossyjskiego księcia ma ten sekret odmładzania się we krwi dzieci. Oskarżyć i sądzić księcia z rodziny królewskiej za taką zbrodnię, wydało się królowi zbyt wielkim skandalem. Śledztwo więc wstrzymano i zakazano mówić o tej całej sprawie. Co zaś do łez i przekleństw matek owych niewinnie pomordowanych niemowląt, szlachetny Ludwik XV nie wiele się o nie troszczył. Lud tymczasem wrzał wściekłą nienawiścią. Nienawiść ta jednak była zupełnie obojętną hr. de Charolais, czuł się bowiem bezpiecznym pod egidą swego pokrewieństwa z królem, które niejako sankcjonowało jego zbrodnie. Nie długo jednak miał się cieszyć takim spokojem. Opatrzność w osobliwy sposób pozbawiła go tej opieki i na pastwę furjom wydała. Pewnego dnia z okna swego pałacu zauważył hr. de Charolais na dachu sąsiedniego domu blacharza mozolnie pracującego. Na ten widok wkorzeniona manja krwiożercza i morderczа ozwała się w hrabim. Skoczył po nabitą strzelbę i wycelował. Strzał zahuczał i wraz z jego odgłosem potoczył się nieszczęśliwy rzemieślnik z roztrzaskaną głową z dachu na sam środek najbardziej ożywionej ulicy. Gromada ludu skupiła się w około zwłok, a dowiedziawszy się o stanie rzeczy, z okrzykiem pomsty wpadła do pałacu, aby rozerwać hrabiego na ćwierci. Przerażony złoczyńca umknął do piwnicy i tam ukrył się tak dobrze w ogromnej pustej beczce, że go nie znaleziono. Tymczasem nadbiegło wojsko i rozproszyło rozjuszony tłum. Na ten raz jednak nie miał już hrabia ujść zasłużonej kary. Mord podobny, popełniony w jasny dzień w Paryżu, skłonił Ludwika XV do użycia osobliwego środka przeciw swemu kuzynowi. Jeden ze współczesnych pamiętnikarzy tak tę rzecz opowieda: Król polecił sprowadzić do siebie hrabiego. W gabinecie znajdowali się oprócz Najjaśniejszego pana, książę Orleanu, kanclerz i prokurator jeneralny.—Panie hrabio — ozwał się król—zdecydowaliśmy się podpisać ułaskawienie dla pana, które nasz kanclerz natychmiast zaopatrzy pieczęcią. Nie jesteś pan tego godnym, ale uczyniliśmy to przez wzgląd na krew nam wspólną, z której pochodzisz. — Kanclerz wycisnął pieczęć i wręczył ułaskawienie hrabiemu. — A teraz — rzekł król, zwracając się znowu do kanclerza — rozkazujemy panu wystawić drugi list, zapewniający zupełne przebaczenie i bezpieczeństwo temu kto zabije hr. de Charolais." Wola króla została natychmiast spełnioną; żądany dokument napisano i zaopatrzono pieczęcią. Wówczas król wręczył go prokuratorowi i rzekł: — Wyraźną wolą naszą jest, aby to ewentualne ułaskawienie pozostało w rękach waszych i na przypadek gdy zbrodnie hr. de Charolais doczekają się mściciela, mścicielowi temu służyć mogło, co będzie rzeczą słuszną i sprawiedliwą. Poczem, obróciwszy się do hrabiego — Jesteś pan wolny, — rzekł,—zdarz Boże, ażeby nas ktoś jak najprędzej od pana oswobodził. Odejdź!—Słowa te przywracały hrabiemu swobodę w całej rozciągłości, w ten sposób jednak że stawała się ona dlań piekłem za życia. Wolałby był do śmierci pozostać w więzieniu, tam przynajmniej byłby bezpieczny. Myśl, że jego byt, zależy od łaski pierwszego lepszego człowieka, że wolno go zabić bezkarnie jak psa wściekłego, doprowadzała go prawie do obłędu. W jednej chwili wydało mu się, że o rozkazie króla wie już cała Francja. Osłupiałym wzrokiem toczył w koło, widząc wszędzie morderców. Nie czując się bezpiecznym w Paryżu umknął do dóbr swoich. Ale i tu piekielna trwoga nie dała mu spokoju. Czuł tuż za sobą owego z góry usprawiedliwionego mściciela. Wypędził służbę. Pił tylko wodę i jadł przyrządzone przez siebie samego pokarmy, wszędzie podejrzewając truciznę. W jednym z takich paroksyzmów trwogi, w przekonaniu że ktoś za nim goni, schronił się na wieżę swego zamku i słysząc jak mu się zdawało otwierające się drzwi, ze strachu przed śmiercią skoczył z okna i zabił się. Zgon godny takiego życia!

— Kłamstwo jest stare jak świat. Szczególniej zaś do niewinnych zmyśleń na sposób naszego „Panie kochanku" i niemieckiego Münchhausena ludzkość od najdawniejszych czasów miała wielki pociąg. Jednym z najdawniejszych mistrzów pod tym względem był Diogenes, nie ów z beczki, ale Antonjusz Diogenes, poeta z końca drugiego lub z początku trzeciego stulecia przed Chr. Obdarzył on świat osobliwem dziełem. Była to wielka romantyczna kompozycja w 25 księgach pod tytułem: „Rzeczy niepodobne do wiary, po za wyspą Thule". Dzieło to niestety zaginęło, i znamy je tylko ze zręcznie obrobionego przez Photiusa wyciągu. Była to więc fantastyczna podróż, w której mówiąc mimochodem, miłość, ta główna okrasa starożytnych i nowoczesnych romansów, skromną gra tylko rolę. Treść tej zabawnej książki jest następująca: Palony nienasyconą żądzą podróżowania Dinias, Arkadyjczyk, — chwyta za kij wędrowniczy. W drodze przytrafiają mu się najcudowniejsze przygody, niczem jednak nie powstrzymany rusza wciąż naprzód i wreszcie obszedłszy naokoło ziemię, dochodzi w kierunku wschodnim do wyspy „Ultima Thule." Wyspa ta była krajem bajecznym starożytności, ostatnią granicą świata ku północy, wedle ówczesnych pojęć. Tam spotyka Dinias piękną Derkylis, wypartą wraz z bratem z Tyru przez intrygi pewnego egipskiego kapłana. Ujrzeć ją, pokochać i pozyskać wzajemność było dla naszego wędrowca dziełem jednej chwili, tembardziej że Tyryjska piękność doznała również niezliczonych przygód, w które go wtajemnicza. Kochankowie przysięgają sobie dozgonną wierność, przed stanowczem jednakże połączeniem, wybiera się nasz bohater jeszcze w formalną podróż do bieguna północnego, i ztąd dopiero powróciwszy, reszty dni swoich dokonywa w spokoju i wygodach obok Derkylis i jej brata w Tyrze. Podobnemi historjami trochę później raczy nas dowcipny szyderca Lukianos z Samosaty, twórca żartobliwych rozmów Bogów i ludzi, które pogańskim przesądom ostatni cios zadały. Jego „Prawdziwe historje" są zaiste arcydziełem satyrycznego humoru. Bohaterowie jego docierają nietylko do bajecznej „Wyspy szczęśliwości" ale nawet na księżyc i słońce, przyczem autor w sposób nader pociągający opisuje życie „Heliotów" i „Solenitów". Wielce zabawną jest scena, w której „Piękna Helena" daje się porwać po raz drugi, dla uniknięcia nudy „wieczystego szczęścia" w owych czarujących krainach. Jeżeli teraz przejdziemy do czasów chrześcijańskich, to w średnich wiekach natrafimy na tak zwanych „Mistrzów łgarzy" ulubionych ówczesnemu społeczeństwa. Z opowiadań tych „pływaków" tchnie najnaiwniejsza wesołość obok najdzikszej przesady i drastycznych kontrastów. Częstokroć mistrzowie ci zakładali się, kto kogo przekłamie i odbierali za zwycięztwo publiczną nagrodę. Jeden z nich naprzykład opowiada o chirurgu, który odjął choremu wieśniakowi żołądek dla naprawienia go—i na chwilę odłożywszy się od operacji, żołądek na płocie powiesił. Tymczasem przypada głodny kruk i porywa tę niezbędną część organizmu. Co robić?! Chirurg sięga po rozum do głowy, wycina z pośpiechem żołądek wołowi i przyprawia go jak najszczęśliwiej pacjentowi swemu. Tu jednak zaczynają się opłakane i komiczne następstwa. Wieśniak nie chce nic jeść oprócz trawy i siana i po każdem nasyceniu się przeżuwa najmniej godzinę — ztąd nałżeńskie sceny, wielka narada kumoszek itd. które opowiadający rozwija w pełen życia obraz. Znane są powszechnie przygody Münchhausena z wilkiem, który wgryzłszy się w pędzącego w sankach konia, cięty biczem przez Münchhausena, ze strachu przejadł się przez cały korpus swej ofiary i ugrzązłszy w hołoblach, miejsce zamordowanego rumaka zastąpił; znaną przy spuszczaniu się z księżyca na linie, której gdy brakło jeszcze kilkanaście sążni u dołu, wynalazczy awanturnik rwał u góry a do dołu przywiązywał; znanym wreszcie genjalny pomysł tegoż samego podróżnika, gdy się zapadł w ziemię po szyję, pójścia do wsi po łopatę i wykopania się przy jej pomocy. U nas opowiadania Radziwiłła „Panie Kochanku" tegoż samego pokroju doczekały się niezmiernej popularności. Jeleń na którym urosła śliwka ze strzału pestkami; Radziwiłł podpierający okręt barkami w czasie burzy, pasący wieprze itd. itd. tkwią w pamięci każdego nieomal dziecka. Z niemieckich opowiadaczy, którzy tak kłamali że aż się za nimi kurzyło, zasługuje jeszcze na wzmiankę, w zbiorze Kirchhofta, zwanym „Wendun muth" przytoczony Ślusarz z Kannstatt. Ten ma pomysły potworno. Ścigając nieprzyjaciela do fortecy wpada pod kratę zamykającą wejście, która nagle spuszczona przecina mu konia na poły, on jednak, ani nie spostrzegłszy tej szkody, na przedniej części dalej pościg prowadzi. Innym razem znowu spostrzega na łowach starą i ślepą dziką świnię, która trzymając ogonek poprzedzającego prosięcia w zębach, tym sposobem się kierowała. Nasz strzelec odcina strzałem ogonek prosięciu i ująwszy zań, wprowadza do miasta niepodejrzewające niczego ślepe zwierzę. Kiedyindziej znowu dzik w szalonej wściekłości goniąc za nim, kryjącym się za drzewo, wbija się tak kłami w pień, że z łatwością ująć się daje. Wreszcie nasz ślusarz, w czasie tęgiej zimy przymarzł tak do siodła, że musiał na piec wjechać, ażeby adtajało. Koroną zaś tych zmyśleń, jest przygoda kata, który skazanemu tak zręcznie i niepostrzeżenie odciął głowę, iż ten zauważył to dopiero w chwili gdy kichnął — a głowa odleciała!

Odpowiedzi Redakcji.

Hr. S. w S. Zastosujemy się do życzenia.

A. T. we Lwowie. Przysłany wiersz drukowany nie będzie.

L. W. w Krakowie. W numerze poprzednim skończył się tom II TYGODNIA. W tomie III będą pokończone wszystkie utwory. Spis rzeczy w tomie II zawartych będzie wkrótce dołączony.

Zwracamy uwagę na rozpoczętą w dzisiejszym numerze rozprawę Dr. Jana Stelli Sawickiego o Magnetyźmie i Jasnowidzeniu.

Treść Nr. 50.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).